

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

№ 314



OLBRACHTOWI RYGERZE



POWIEŚĆ

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

—  —
Część IV.
—  —

Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA
Redakcyja i Administraçya
14. Warecka 14.

—
1904.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) rs. 10	}	Rocznie . . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5		Półrocznie . (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50		Kwartalnie . (12 tomów) „ 3

Za odnośnienie do domu 15 kop. kw.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . rs. 8 kop. —
Półrocznie . (za 26 tomów) . . . „ 8 „ —
Kwartalnie . (za 13 tomów) . . . „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCA

Franciszek Jul. Granowski



Redakcja i Administracja: Warszawa, Warecka 14.—Telefonu 88.
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat 47.

po ogwi udow

OLBRACHTOWI RYCERZE.



Kacz

obr.

~~840~~

8-3

175

ZYGMUNT KACZKOWSKI.

Pozwinięci

PHO

OLBRACHTOWI RYCERZE.

POWIEŚĆ.



~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w G~~LIWICACH~~
Nr. ~~840~~~~

Wacław Potemkowski

WARSZAWA

DRUKARNIA

A. T. JEZERSKIEGO

47. Nowy - Świat 47.



SN

21134

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Января 1904 года.



821.162.1-3

XI.

Obóz pod Lwowem.

Na zamku królewskim w Krakowie jeszcze nigdy takiej ciszy i takiej powagi, a zarazem tak skrzętnej pracy nie było, jak w drugiej połowie zimy roku 1497.

Król wszystkie zabawy i wszystkie rozrywki porzucił, rzadko kiedy wyjeżdżał, sam po kilka godzin odziennie w kancelaryi przepędzał, a zresztą najrozmaitszych ludzi w swoim gabinecie przyjmował. Podkanclerzyi zwyczajną liczbę swoich pisarzy i gościów podwoił, tyle tam teraz ekspedycyi musiano spisywać i w różne strony królestwa, a często i za granicę wysyłać. Ludzie, których król u siebie przyjmował i zwykle sam na sam z nimi rozmawiał, byli to senatorowie z odległych okolic, rotmistrze i starostowie rezydujący na zamkach granicznych i posłowie litewscy, krzyżaccy, węgierscy i czescy, czasem zaś nawet indywidua całkiem nieznanne, o których tylko tyle wiadano, że przyjeżdżali z ziemi wołoskiej, tatarskiej, albo też z turecczyzny, a których przeto miano za tajnych ajentów królewskich lub szpiegów. Kamieniecki przez cały ten czas nie ruszył się krokiem z Krakowa, codziennie miewał z królem narady, czasem bywał obecny rozmowom króla z królew-

czem Zygmuntem i kardynałem Fryderykiem, kilkakrotnie w jakichś poselstwach od króla wyjeżdżał, ale nigdy się nikt od niego nie mógł dowiedzieć, ani z czem jeździł, ani do kogo. Wszyscy przeczuwali, że jakieś niezwykle przygotowują się rzeczy, domyślano się prawie powszechnie, że jakaś wielka wojna sekretnie się ściele, ale nikt nawet nie śmiał o niej wspominać z obawy przed królem, który widocznie nie chciał, aby o tem mówiono, a w tym czasie był niezmiernie surowy dla wszystkich i w swych nagłych wyrokach zawsze nieubłagany.

Pomnażano także młodzież służbową na zamku, kompletowano chorągwie rycerskie, składające wojskowy dwór króla, i przyjmowano każdego, kto jakokolwiek z rycerska się prezentował. Wszystka ta młodzież przechodziła przez ręce Gniewosza, który ją oglądał i egzaminował, jednych przyjmował, drugich odsyłał, a wszystkich przyjętych wieczorami w wielkiej zamkowej kordegardzie zgromadzał i tam im z rozkazu króla katechizm rycerski wykladał.

Bardzo ciekawe już dla samego oka były te zgromadzenia, albowiem można tam było widzieć najrozmaitsze rynsztunki i zbroje, wedle tych rozmaitych krajów, w którym każdy z nich odbywał nauki albo też terminował: tutaj więc hełmy z piórami, z grzebieniem zjeżonym szerszcią stojącą, z blaszanemi skrzydłami albo też z uszyna, pancerze całkowite lub półpancerze, polerowane, szmelcowane, wykładane srebrem lub złotem, z herbami, obrazkami Świętych, albo innemi insygniami, jedne z wielkich płatów złożone, drugie z wazkich pierścieni, albo też w kształcie koszulek, ten z krótkim mieczem, ów z długim, a inny z młotem do rozbijania hełmów i pancerzy, wielu zaś w sukniach świeckich, barwnych nad podziw, krojem węgierskim, czeskim, niemieckim albo francuskim. Ale

jeszcze ciekawsze były prelekcyje Gniewosza, który obok ogromnego komina, na którym się całe kłody jasnym palily płomieniem, w wysokiem poręczowem krześle zasiadał i wykładał im wszystkie artykuły rycerskiego kodeksu jeden po drugim.

Artykułów tych było blisko trzydzieści, a celniejsze z nich brzmiały w ten sens: Każdy rycerz ma bać się Boga, bić się zawsze i wszędzie za wiarę i raczej męczeńską śmierć ponieść, aniżeli wyrzec się religii chrześcijańskiej. - Ma służyć wiernie swojemu królowi i bić się za niego i za ojczyznę ze wszystkich sił swoich. Ma bronić słabszych we wszystkich ich prawach, a mianowicie wdów, dzievic i sierot, jednak ani przeciwko swemu, ani przeciwko ich własnemu królowi. Nie ma nikogo obrażać w złości, ani jego dobra pożądać, owszem, najężdżać na takich, którzy to czynią. Nie ma nigdy nic przedsiębrać z pożądlivosti, albo dla marnej nagrody, tylko zawsze dla pomnożenia czci swojej i swego honoru. Ma zawsze bez szemrania wypełniać rozkazy swych przełożonych. Ma mieć zawsze w poszanowaniu urząd, godność i cześć swych towarzyszków i zawsze ich bronić. Nie ma nigdy samowrót, albo zgoła samotrzeć na jednego uderzać i nigdy nie używać w pojedynku ani podstępny, ani też żadnej chytryści. W bitwie ma tylko jednego miecza używać, chyba gdyby był nagabany przez kilku. W turnieju nigdy ostrza nie używać. Wzięty w niewolę w turnieju, ma święcie dotrzymać wszystkich warunków, pod któremi go jego zwycięzca wypuści na wolność. Wiary mu dotrzymywać zawsze i wszędzie i strzedz, aby jej jego bracia także dotrzymywali. Rycerze mają się między sobą czcić i szanować i zawsze sobie pomagać. Jeżeli rycerz jakie wotum uczyni, które ma bronią spełnić, nie powinien się nigdy rozbrajać, chyba że do snu się kładzie. Jeżeli w celu spełnienia swojego wotum musi się przebijać przez niebezpieczne wą-

wozy, gdzieby się mógł spotkać z mocniejszymi rycerzami, z dzikimi bestyami, z dyablami, strzygami lub upiorami (co tak często się zdarza), to niewolno mu dlatego takiego wawozu omijać pod utratą czci i honoru. Rycerz nie ma nigdy przyjmować żołdu, ani żadnej nagrody od postronnego króla albo książęcia. Ciągąc na czele chorągwi, nie powinien dopuszczać, ażeby jego żołnierze jakiegokolwiek krzywdy czynili mieszkańcom. Jeżeli mu powierzone jest bezpieczeństwo kobiety lub panny, ma raczej zginąć, aniżeli dopuścić, aby ją obrażono. Jeżeli mu się zdarzy zdobyć w niewolę kobietę lub pannę, nie powinien naruszać jej czci, chyba, żeby się sama na to zgodziła. Komukolwiek równemu sobie nie powinien nigdy uczciwej bitwy odmawiać. Wróciwszy z wojny albo wyprawy, ma zgodnie z prawdą opowiedzieć królowi swe czyny; któryby kłamał, ma być wytracony z pomiędzy rycerstwa. Rycerz ma być zawsze wierny, pokorny i grzeczny, głośno bić a cicho mówić i zawsze dotrzymać słowa, choćby chodziło o życie, albowiem na tem jego wysoka godność polega i niezrównana cześć, jakiej używa.

Takie były przedniejsze artykuły rycerskiego kodeksu; lecz był jeszcze inny, niejako ujemny, a wyrażający, czego się rycerz kajać powinien, a ten wykladał Gniewosz młodzieży starym wierszem niemieckim w ten sens:

*Welch Ritter bei einer Messe steht
Und nicht zur Opfer geht,
Und Schlüsseln spült und spielt mit Schälén
Und beginnt die Küh' zu melken,
Und geflickte Schuh' antheit
Und einen Armen verschmeit,
Und seine Klaidler schickt, dass man sie wendt,
Der hat seine Ritterschaft geschaendt.*

Od tego czasu wieki minęły — a ten wierszowany kodeks rycerski pozostaje jeszcze do dzisiaj katechizmem szlacheckim. Ale Gniewosz to wówczas bardzo pięknie wykladał, tak pięknie, że na jego prelekcyę do kordegardy chodzili nie tylko nowozaciężni młodzi żołnierze, ale cisnęła się także wszystka szlachta, która choćby tylko w przejeździe znajdowała się w Krakowie. Nawet sam Kamieniecki często się zjawiał, zabierał głos i Gniewoszowi pomagał. Niejednokrotnie i inni mówili, opowiadając świetne czyny rycerskie, jakich sami byli świadkami, bo znajdowało się między tą młodzieżą niemało takich, co już przez kilka lat żołdy czynili w Niemczech, w Sabaudyi, w Hiszpanii i Francyi. Wilczek także prawie codziennie na te rozmowy przychodził, ale był smutny, milczący, w sobie zamknięty i zachmurzony.

Nie znalazł on dotąd żadnej pociechy na swoje nieprzetrawione boleści. Nie miał dotychczas jeszcze żadnej wiadomości od Jagienki, ani nawet nie usiłował od niej jaką wiadomość otrzymać, bo jego honor rycerski nie pozwalał mu szukać jakiegokolwiek relacji z żoną swojego towarzysza i przyjaciela. Wiedząc o tem napewno, że Gniewosz został do tego małżeństwa przeciwko swej woli zmuszony i domyślając się, że i on chciałby się od tych ślubów uwolnić, usiłował po kilkakrotnie zbliżyć się do niego, zniewolić go do konfidencyi i razem z nim jakie środki obmyśleć, za pomocą których możnaby rozwiązanie tych ślubów sprowadzić.

Ale Gniewosz, stojący pilnie na straży swego honoru, nie dopuścił mu nigdy ani jednego słowa aluzyi do swojej żony, a kiedy Wilczek raz zdobył się na odwagę i wprost go o Jagienkę zapytał, to Gniewosz odpowiedział mu bardzo uprzejmie, lecz sucho:

— Pisuje do mnie co miesiąc, a z jej listów widzę, że jest zdrowa i dobrze jej się powodzi.

Poczem zaraz rozmowę odwrócił do innego przedmiotu. Wilczek był w gruncie rzeczy z tego zadowolony, że Gniewosz ani sam jechać na Czorsztyń, ani też żony do Krakowa sprowadzać nie myśli. Potwierdzało to przypuszczenia Formozy, na które chciała mu przysiąc. Pocieszał go także cokolwiek jego sługa Kostruban, który się nadzwyczajnie do niego przywiązał, służył mu wiernie jak pies, jego myśli zgadywał i jego zupełne zaufanie pozyskał. Kostruban wiedział już o wszystkim i codziennie go zapewniał, że rzeczy te z dziś na jutro wezmą obrót niespodziewany i on Jagienkę dostanie. Wilczek mu nie wierzył, ale go słuchał, bo któż nie słucha wróżby milej swojemu sercu? Czasem zaś cierpko z nim żartował, mówiąc: — Jeśliś jest dyabeł prawdziwy, to przecie mi powiesz, jakim sposobem ją dla mnie dostaniesz.

Kostruban nie umiał mu jeszcze tego powiedzieć, ale przecie od czasu do czasu przynosił mu wiadomości, które go zajmowały. Tak raz mu doniósł, jako Gniewosz się zwierzył przed swoim pacholikiem, że się stara u kardynała, ażeby jego ślub mógł być unieważniony. Innym zaś razem zapewnił go, jako król Gniewoszowi obiecał, że do papieża napisze, aby ten ślub skasował. Były to rzeczy prawdopodobne i dlatego czasem wypogadzały cierpki humor niepocieszonego młodzieńca, ale zawsze tylko na chwilę. Rozebrawszy tę sprawę rozumem, który mu mówił, że w katolickim Kościele niemasz rozwodów, a oprócz tego będąc przekonanym, że król o takich sprawach tylko tak długo myśli, jak długo właśnie o nich jest mowa, znów w czarną rozpacz zapałał. A wtedy mówił do siebie: — Gdyby tylko wojna wybuchła! tam znajdę dla siebie niezawodny ratunek. — Dlatego od czasu, jak zaczęto szeptać o wojnie, ożywił się trochę, mówił

o niej z zapalem i nieraz się zdradził przed swymi towarzyszami z tą myślą, że kto zdrów wróci z tej wojny, temu niech Pan Bóg da szczęście, ale on pewno nie wróci...

Aż jednego dnia, jeszcze przed końcem lutego, król go kazał zawołać do siebie i dał mu rozkaz, ażeby zaraz wyjeżdżał do Tustania. Kasztelania halicka wakowała natenczas. Król dał mu zatem już wygotowany dokument do wojewody ruskiego, mocą którego mianuje go zastępcą kasztelana i nakazuje wojewodzie, ażeby go zainstalował, jemu zaś wydał instrukcyę, ażeby z pospolitaków, których będzie mógł zebrać w sekrecie, wysztytował zawczasu porządną chorągiew, zaczem jak swego czasu zatrabiają na koń, obejmie komendę nad pospolitem ruszeniem powiatu.

Na tę wiadomość Wilczkowi uderzyło serce z radości tak gwałtownie, że mu się twarz roześmiała i ścisnął króla za kolana. To śmierć pewna i śmierć chwalebna na czele rycerstwa tak znamienitego powiatu! Wilczek uczuł się uniesionym szczęściem anioła: dla niego śmierć była dzisiaj zwiastunem zbawienia.

Król, widząc tę radość, położył mu łaskawie rękę na ramieniu i rzekł:

— Słysz, Wilczek! jam zawsze był ciebie pewnym, tak jak Gniewosza, żeś gotów za mnie skoczyć choćby i w ogień. Ale wiedz o tem, że ja teraz liczę na ciebie, że mi tam zawczasu taką złożysz chorągiew, którą dobrze w garść weźmiesz panów pospolitaków.

— Najjaśniejszy królu!—zawołał Wilczek z zapalem — za miesiąc a sześć tygodni taką wystawię chorągiew, że nią ścisnę szlachciców jak w kleszcze żelazne. Chorągwi Gniewosza ja nisko nie cenię, ale zato waszej królewski mości odpowiem, że gdzie ja z moją chorągwią uderzę, tam dla Gniewosza i źdźbło nie zostanie.

— Słuchaj-że mnie, mój Wilczek—dodał król kontent z jego zapału—a jak przez Lwów będziesz przejeżdżał, to pomóż tam trochę Kergolajowi, ażeby także tam jakąkolwiek złożył chorągiew. Bo tu mi się z nim nie udało — a szkoda człowieka. Kmita go na zastępcę nie przyjął, a może rycerstwo także nie radeby iść pod buławę cudzoziemskiego rycerza. Zaczem go wyprawiłem do Lwowa, aby tam z tych wielkopolskich chodaczków, co w jesieni chmurami pociągnęli w Bełskie, tam się nie mogli osiedlić, a teraz siedzą na bruku we Lwowie, także złożył chorągiew. Dałem mu trochę pieniędzy, resztę kazałem mu wypłacić we Lwowie, spodziewam się, że da sobie radę, ale jeżeliby się trącał o jakie trudności, to ty mu pomożesz.

Wilczek przyrzekł święcie królowi, że Kergolajowi wedle sił swoich pomoże — i jeszcze tego dnia wyjechał z całym swym poczem z Krakowa.

Brodząc z wielkim mozołem przez nieprzebrane śniegi, jakimi Polska w tej porze roku była zazwyczaj nakryta, ósmego dnia dobił się wreszcie do Lwowa — i przede wszystkim Kergolaja odpytał.

Kergolaj najął sobie po za murami miasta zaraz pod Niskim zamkiem obszerną gospodę, rozłożył się w niej bardzo wygodnie wedle swego zwyczaju i werbował ludzi dla swojej chorągwi. Jego werbunek, choć jawny, nie sprawił w mieście żadnego wrażenia i nie stał się powodem do żadnych plotek o blizkiej wojnie. W owych czasach kto chciał, werbował sobie ludzi po miastach i nikt mu tego nie bronił. Ale sztyftowanie konnej chorągwi nie było łatwym zadaniem z powodu wielkiego ubóstwa tej drobnej szlachty, pomiędzy którą jedynie można było znaleźć ludzi do konnej służby już jakokolwiek wprawionych. Kergolaj, przyjmujący skutkiem swego temperamentu nawet przeciwi-

stwa zawistnych losów z humorem, opowiadał Wilczkowi i ten swój zawód wesoło, mówiąc:

— Król chyba chciał się mnie pozbyć z Krakowa, dając mi patent i trochę pieniędzy na sztyftowanie konnej chorągwi we Lwowie. Jużci tu tej małej szlachty jest dosyć. Wszystkie przedmieścia są nią przepelniona, ale tym ludziom nietylko koni i broni brakuje... Tu całkiem innych sum na to potrzeba, ażeby niemi nakryć chorągiew. Wyobraź sobie, jest tu trzech braci Bernatowiczów, chłopcy jak drągi i wcale przystojni żołnierze, ale w takiej są biedzie, że wszyscy trzej tylko jedne pludry mają i jak jeden z nich wychodzi na miasto, to drudzy dwaj muszą siedzieć za piecem. Słysz, Wilczek!—wołał Francuz swoim klarynetowym głosem, uderzając go zlekka ręką po drucianej koszulce — trzech braci o jednych pludrach, przecie coś takiego można znaleźć tylko we Lwowie.

Być może, że w tej przypowieści Kergolaja było cokolwiek przesady, ale pomiędzy tą drobną szlachtą wielkopolską, która się wtedy całemi bandami na Ruś ściągała, panowała częstokroć istotnie niewysłowiona nędza. Obok błyszczącego aksami-tami i zlotem bogactwa i iskrzącej się wszelkimi zbytkami wystawności, jaką Polska pomiędzy wszystkimi europejskimi krajami w pierwszym rządzie się odznaczała, głód i łachmany... Takie skrajne ostateczności, tuż obok siebie leżące a nawet i pomieszane z sobą, były zresztą najwięcej uderzającym rysem wieków ówczesnych.

Wilczek wzruszył się w swem dobrem sercu tą nędzą szlachty, a zarazem dotknęło go i krytyczne położenie Kergolaja, bo nie tylko sam tę zasadę wyznawał, że rycerz rycerzowi zawsze i wszędzie pomagać powinien, ale wiedział zarazem, chociaż to było dla republiki sekretem, że Kergolaj tę chorągiew ma sztyftować nie dla siebie, tylko dla króla. Spytał go więc bardzo zafrasowany:

— Jużci ja ciebie w tym dziegiu tak nie zostawię; ale pytam się ciebie, co począć? bo przecie wiesz, że trzeba sekret zachować, a przeto i pozór, jako ty tę chorągiew zbierasz dla siebie.

A Kergolaj na to:

— Trzeba się nad tem namyślić. Mam trochę pieniędzy od króla, mam asygnacyę do Łopatki. Łopatce musiałem kłamać jak z książki, jako robię wyprawę do Ziemi Świętej po drzewo krzyża Chrystusowego dla kardynała i dlatego król mi pomaga, aby się nie domyślił, że to werbunek dla króla i że się na wojnę zanosi. Łopatka mi te grzywny wypłaci. Ale to wszystko ani na ćwierć chorągwi nie starczy, jak skoro na trzech szlachciców tylko jeden ma pludry. Król o tem zapewne nie wiedział, a rozumiał, że ta szlachta jest uzbrojona i siedzi na koniach. Apelować teraz do króla, to droga daleka i długa; w złym razie mogłaby nawet z tego wyniknąć dla mnie brzydka dekonfitura, żem się na coś zamachnął, czego nie dokazał. Już mi się tu raz noga powinęła w tym przeklętym Lemburgu, za zdrowie królewskie jakoś to uszło i przycichło; wszelako teraz nie chciałbym wcale, ażeby mnie pięć nacyj tutejszych pięciora językami jednogłośnie wyśmiało. Ale słuchaj mnie, jest na to sposób, jeżeli ty mi pomożesz. Oto ten wasz ormiański wyporek, co go tak wszyscy kochacie, zebrał sobie stu ludzi i ma ich, doskonale ubranych i uzbrojonych—a nie potrzebuje tobie powiadać, że on i stu kotom nie godzien hetmanić. Od kilku dni przybrał sobie wprawdzie młodego Pretficza na porucznika, który drapnął z Krakowa, a wstydząc się powracać do ojca, pokumał się z Tigranesem i pojechał pod jego chorągiew. Pretficz jest dobrze wyćwiczony w rzemiośle rycerskiem i spoi mu jakkolwiek jego zbieraninę, ale to także młode chłopczysko, co nawet jeszcze nigdy w ogniu nie było. Otóż ja tak rozumiem, że gdyby Tigranes oddał tę

chorągiewkę pod moją komendę, to jabym miał z czego ją wzmocnić i okryć dostatnio, tak, żeby król miał z niej pociechę.

Ale Wilczek się na to uśmiechnął i rzekł:

— A ty zawsze modą francuską wyciągasz rękę po chleb gotowy. Najprzód chciałeś zabrać Kmicie pospolitaków przemyskich, a teraz znowu chciałbyś Tigranesowi wziąć jego własną chorągiew. Ale jak tamto ci się nie udało, tak i to się nie uda. Wiesz przecie, że Tigranes na to sztyftuje chorągiew, aby nią na szlachectwo albo też i na pasowanie zasłużył: a ty go chcesz wziąć pod twoją buławę; to właśnie jak gdybyś mu chciał głowę zdjąć z karku. Nie tędy droga, mój bracie.

— Więc cóż zrobić?

— Trzebaby się nad tem naradzić z Łopatką, przecie jest tutaj królewskim starostą.

Ale Kergolajowi jakoś nie smakowała ta rada, bo rzekł:

— Ja bardzo kocham Łopatkę, bo chłop z niego serdeczny i przywiązany do króla. Ale wiesz, co powiada wasze przysłowie: Noga w szczudle, a mysz w pudle, koza w sadzie, rusin w radzie, cztery rzeczy niedorzeczy. Zresztą niebardzobym się zwierzał Łopatce, bo on piwo i wino jeszcze jakokółwiek przemoże, ale małmazya mocniejsza od niego, więc jak małmazyi w czuprynę naleje, to gotów z samej serdeczności i grzech śmiertelny wypłacić.

— Masz rację—rzekł Wilczek, zastanowiwszy się nad tem i dodał żartem: — a potem nie wiem, czy Łopatka ciebie kocha tak bardzo, jak ty jego, przynajmniej ja w jego miejscu wcalebym cię nie kochał za to, coś z Pachną nabroił.

— Ja to teraz naprawię — odpowiedział mu Kergolaj, patrząc na niego swojemi mieniącemi się oczyma.

A Wilczek się na to roześmiał i rzekł:

— Piękna to będzie naprawa. Możeby lepiej, żebyś już wcale nie naprawiał... Bo ty tam grasz w szubieniczkę — a wiesz, jak się to kończy: tu się pisze, tu się maże, ale nareszcie przecie napiszą i powieszą.

— Jeszcze ja to potrafię — rzekł Kergolaj — że za mnie kogo innego powieszą. Jeśli zaś mnie tutaj przyjdzie zawisnąć, to chyba już na Formozie.

Na to Wilczek spojrział na niego ciekawemi oczyma, poczem je spuścił ku ziemi i mały czas milczał. Kiedy zaś Kergolaj rozumiał, że on tak rozmyśla nad jego chorągwią, on podniósł oczy ku niemu i rzekł:

— Najrozumniejszy człowiek we wszelkich sprawach przecie w miłości jest głupi.

Kergolaj na to w głos się roześmiał i zawołał:

— Rozumiałem, że mi dasz radę na moje chorągiewne kłopoty, a ty mi dajesz radę w miłości. Tak mi się widzi, że ci jeszcze Jagienka wciąż chodzi po głowie. Otóż ja tobie dam inną radę, abyś ją dobrze spamiętał. Każdy rozumny człowiek musi się kochać koniecznie, bo inaczej nie wart jest, aby żył na tym świecie. Każdemu wolno robić największe głupstwa z miłości, a to tembardziej, ile że im większe głupstwa się robi, tem więcej się ma satysfakcyi. Ale przy najgorętszej miłości każdy ma o tem pamiętać, że za jedną kobietą siedzi druga, a za tą trzecia i czwarta, a za piękniejszą jeszcze piękniejsza. Zaczem weź to sobie na rozum i jedź do Jerycho po różę dla Jagienki, ale jak w drodze spotkasz Formozę, to stań w Lemburgu, a jak Formoza przestanie ci nastawiać pudełka, to wróć znów do Jagienki..

Wilczka mocno razily te słowa Francuza. Byłby go chętnie jego własnemu losowi zostawił i więcej o nim nie myślał, ale chodziło o sprawę kró-

lewską. Zaczem wstał i zaczął się przechodzić wzdłuż izby, Kergolaja wcale nie słuchał, jeno myślał o środkach pomocy. Jakoż po chwili stanął przed nim i rzekł:

— Słysz Kergolaj, chciałbym ja innej drogi spróbować. Staremu Kijasowi można przecie się zwierzyć, bo pewnie nie zdradzi. Jemu wiele na tem zależy, ażeby mógł zaskarbić dla swego syna łaskę królewską, miasto także się rade przypodoba królowi; miasto bogate, jak Kijas zechce, to ci pomoc uzyska od miasta. Chyba ja o tem pomówię z Kijasem.

Kergolaj chętnie się na to zgodził.

Zaczem Wilczek poszedł zaraz do Kijasa — i był, jak zawsze, bardzo wdzięcznie w tym domu przyjęty.

Z Formozą niewiele mieli sobie do powiedzenia. Formoza z żywą radością, a zarazem z pewnym tryumfem dowiedziała się od Wilczka, że Gniewosz nie ruszył się krokiem z Krakowa i tylko raz na miesiąc pisuje do żony; zresztą czekała, wierząc w przysięgę Gniewosza jak w ewangelię, a zarazem ufając ślepo swemu przecuciu, że się jakiś cud stanie, który ją z nim połączy: wiara zbawia każdego, a przeto i dla niej była zbawieniem. Wilczek oczekiwał także zbawienia, ale tylko przez śmierć, której pragnął na polu bitwy za ojczyznę i króla i którą już widział przed sobą; ale się z tem przed Formozą nie zwierzał. Natomiast miał drugą rozmowę z Kijasem.

Kijas obliczył zaraz swoim przenikliwym rozumem, jakie z pomocy, danej Kergolajowi, wypłyną dla niego i dla miasta korzyści: król dowie się o tem i zakarbuje to jako zasługę jemu, a zarazem i miastu; tym środkiem będzie mógł tem łatwiej otrzymać dla Tigranesa szlachectwo; prócz tego jeszcze w tej Kergolaja komendzie, której choć do

pewnego stopnia nada się charakter chorągwi miejskiej, Tigranes w czasie wojny znajdzie oparcie i obronę, o co Kijas zawczasu się z Kergolajem umówi. Obok tych pięknych widoków były niejaki trudności. Oto rajcom nie można się zwierzyć z sekretem, trzeba tę sprawę z konsulami załatwić, zkąd idzie, że można użyć tylko tych pieniędzy, które są w kasie podręcznej; w arsenale jest broni dostatkim, ale zbroi niewiele, trzeba zatem zaprządz do roboty płatnerzy, a to może się stać powodem do plotek; skór w składach miejskich jest dosyć, ale sukno jest tylko czarne, a nie wiedzieć, czy Kergolaj na ten kolor się zgodzi. Ale Kijas na to wszystko poradzi — a zresztą od czegoż Kundrat, notaryusz lonheryi, człek taki przemyślny i sprawny?

Cokolwiekby, Kijas wziął to na siebie, że Kergolajowi wszystkiego dostarczy, czego mu do wystawienia przystojnej chorągwi zabraknie—a tak się stało, że Kundrat (jak to los bywa czasem złośliwy!) musiał znów zaprządz się do roboty, aby nienawistnemu dla siebie Francuzowi, którego by był raczej w łyżce wody utopił, jeszcze do znaczenia i sławy pomagać.

Wilczek, zadowolony z siebie, że królowi ponad swój obowiązek wyrządził przysługę, wyjechał czempredzej na Tustań.

Król o tym czasie skoczył był do Parczowa, gdzie miał zjazd i naradę z bratem swym Aleksandrem, wielkim księciem litewskim, jakie posiłki Litwa mu na tę wojnę ma przysposobić—a skoro tylko do Krakowa powrócił, zaraz rozbiegły się wieści, jako Turcy zaczynają się zrywać jak ptacy z ziemi i ciągną już lotem powolnym, lecz tłumnym, ku Podolowi i Rusi, ażeby całą Polskę zalać swemi wojskami i wszystkie jej kraje wypalić i złupić, a z jej dworów i miast zostawić tylko kupy popiołów...

Zima była twarda w tym roku, więcej mroźna niż śnieżna, ale zato wiosna bardzo pochopna i ciepła. Już w marcu stajały śniegi po polach otwartych, a nawet po lasach, wezbrane strumienie i rzeki szparkami bałwany toczyły swe wody do morza. a wiatry, prawie gorące, pędzone jakby umyślnie z południa na Polskę, osuszały nadzwyczaj prędko gościńce i drogi. W kwietniu już słońce zaczęło dobrze dogrzewać i łąki zielonemi trawami zaścielać, zakwitły sady, rozweseliły się lasy, dzikie ptactwo, przelatujące z za morza, padało czarnemi chmurami, z rozgłośnym wrzaskiem na moczary i stawy, bocian powrócił i zasiadł znowu swe gniazdo na wierzchu strzechy u kmiecia.

Z gorącym wiatrem, wiejącym z południa, i z dzikim ptactwem, przylatującym od wschodu tem szerszej i głośniej rozbiegały się wieści o Turkach ciągnących na Polskę. Szlachcic, co nos wystawił po za wrota swojego dworku, czuł piźmo w powietrzu, którem cuchnęły namioty tureckie — a kiedy ucho przyłożył do ziemi, to słyszał tętent kopyt i rzenie ich koni. Byli ludzie, co widzieli we śnie, ale jakby na jawie, nieprzejrzone zastępy tureckie, z krzywymi szablami w prawicy, kapiące od drogich kamieni i złota, na białych koniach z czerwonymi grzywami, jako z rozwiniętymi sztandary barwy zielonej leciały powietrzem i właśnie jak owe stada dzikiego ptactwa z przerażającym wrzaskiem spadały na polskie krainy: gdzie padły, tam wszyscy ludzie umierali jak od pomoru, a cała ziemia obracała się w wielkie pogorzelsko.

Były także i znaki, których Opatrzność nigdy nie szczędzi swym wiernym, aby ich ostrzedz przed wielkiem nieszczęściem. Na południowem niebie codzień po zachodzie słońca było widać wyraźnie dwa skrzyżowane z sobą u dołu tureckie sztandary, a między niemi u góry półksiężyc, obrócony swemi ostremi rogami ku Polsce. Szlachcica, co z dwu-

nastu końmi pod namiotem stał w polu, piorun zastrzelił i wszystkie konie za jednym wystrzałem. W Małopolsce powiła baba umarłe dziecko, co je wąż zagryzł w jej łonie, jeszcze i po porodzie siedział mu na plecach i gryzł je: wróżono z tego wielką zawziętość Turków, że pastwić się będą jeszcze nad umarłymi. Na Rusi urodziło się cielę z dwiema głowami i obydwoma pyskami okrutnie ryczało: tak, powiadano, my ryczeć będziemy pod uciskiem tureckim. We Lwowie zjawił się chłop brodaty, a blady jak śmierć, który pod białą płóciencą pokazywał krwawą ranę Chrystusową na piersiach, miał też rany na rękach i nogach, jakoby na świadectwo, od kogo jest posłan i przepowiadał ciężkie pokuty dla Polski...

Wobec tych znaków głębokie niepokoje i drżenie wnętrzości objęły całe królestwo; jedni obwarowywali nanowo swe dwory i gotowali się do obrony, drudzy zagrzebywali w ziemi klejnoty i uzbierane pieniądze, a wszyscy się oglądali, kędyby mieli przechować swoje żony i dzieci. Zgoła, mało niewiele, a cała Polska byłaby wyglądała, jak zmarłych wstali umarli, co się na dolinie Józafata zgromadzą i czuć będą przed sobą po znakach na niebie i ziemi zbliżający się do nich dzień sądny.

Ale król czuwał. Jak tylko te straszne wieści po całej się Polsce rozeszły, już w kwietniu rozesał bardzo szybkimi gońcami wici do wszystkich województw, ziem i powiatów, przedstawiając groźące niebezpieczeństwo i rozkazując pospolite ruszenie, a prosząc jaknajusilniej, ażeby kto żyw i broń może udźwignąć, wsiadał na koń i śpieszył zastawić swemi piersiami zagrożoną od Turków ojczyznę. Już czas—dodawali do tego ustnie urzędnicy królewscy—już czas pomścić na tych poganach nielitościwą śmierć króla Władysława i naszych ojców męczeństwo, którzy wszyscy polegli pod Warną. A lepszego czasu nigdy nie będzie, bo zwycięstwo

jest pewne; albowiem bracia królewscy, Aleksander, wielki książę litewski, Władysław król węgierski a czeski, nuż wreszcie krzyżacy, związani są sojuszami i armie swe przyślą, nawet i cesarz Maksymilian obiecał posiłki, a Wenetowie wybierają się już na Turków z mnogimi okrętami i niechybnie na nich uderzą od tyłu. Jeżeli więc Polacy chcą, aby im drudzy nie odebrali sławy tego zwycięstwa, jeżeli pragną (co bardzo ważne jest zwłaszcza dla ubogich żołnierzy), aby im żołdacy węgierscy a czescy nie wzięli łupów tureckich z przed nosa, to niechże się śpieszą, ażeby pierwsi a przed wszystkimi innymi ruszyli w pole.

Obawa przed najazdem tureckim, a zwłaszcza te wrzące proklamacye królewskie odniosły skutek, przechodzący wszelkie nadzieje. Jeszcze nigdy, jak Polska Polską, szlachta wielka i mała nie okazała się tak posłuszną swemu królowi, jeszcze nigdy tak jednomyślnie, bo prawie od kolka do kolka nie stanęła w tak krótkim czasie do broni, jeszcze nigdy Królestwo Polskie nie wystawiło tak świetnej a zarazem tak licznej armii do boju.

Już bowiem w maju osiemdziesiąt tysięcy rycerstwa i trzydzieści tysięcy ciurów stanęło w pełnej zbroi pod Lwowem, a tak olbrzymiej potęgi wojskowej nie mieli wówczas ani król francuski, ani sam cesarz niemiecki. Pyszne te wojska, przenoszące liczbą swych głów prawie trzy razy całą ludność stolicy Rusi, rozłożyły się obozem pod miastem, ku podziwieniu wszystkich mieszkańców, nawet tych, co we Włoszech, we Francyi i w Niemczech najznamienitsze armie widzieli. Świetność tego obozu podniosła jeszcze o wiele ta okoliczność, iż niebywałym dotąd zwyczajem, niektórzy panowie i znamienitsi rycerze poprzywozili z sobą swe żony, które z wrodzonej sobie próżności tem się zajęły, ażeby piwnice i kuchnie były dobrze za-

opatrzone i aby na wszelkich innych nie brakowało rozrywkach.

Kto życie swe waży za spokój i szczęście swych brać i może już jutro położy swą głowę za wolność i całość ojczyzny, temu się godzi i pieczeń wonniejsza i lepszy dzban wina i wszelka inna uciecha; tak zawsze bywało na świecie i nikt tych obyczajów żołnierskich nie zmieni; ale tam już na pierwszy rzut oka trzeba się było obawiać, ażali tych uciech nie będzie zanadto. Albowiem każda żona zamożniejszego rycerza przyprowadziła za sobą jaki taki fraucymer; czego możny sobie pozwolił, tego się i uboższemu zachciało, a za żonami poprzyciągały także rozmaite sieroty i wdowy, które dopiero mężów szukały w obozie... Za nimi zaś markietanki i ich pomocnice, szwaczki a praczki, porozkładały się w osobnych namiotach z rozmaitemi trunkami i towarami, tak, że ich namioty były wciąż w obleżeniu od żołnierstwa wszelakiej broni, że nieraz i starszym trudno się było przez nie przecisnąć.

Gdzie wino, tam i muzyka być musi; toż za markietankami nawaliło się do obozu gęślarzy, lirników, teorbanistów, skoczków, kuglarzy i błaznów wszelkiego rodzaju, a z nimi i kupców, przekupniów, handlarzy, którzy bądź pozakładali swe kramy, bądź też pomiędzy namiotami roznosili swoje towary. Cieszyli się z tego mieszczenie, bo z tego obozu sownie się napełniały ich worki; ale starzy żołnierze bardzo na to mruczełi, mówiąc, że gdzie kobiety a grajki rej wodzą w obozie, tam rygor wojskowy rozłazi się prędko i licha służba z takiego żołnierza.

Obóz ten był ogromny, jakiego dotąd jeszcze w Polsce nie było. Zaraz za Niskim zamkiem stanęły pierwsze namioty i ciągnęły się pomiędzy Zniesieniem a Kleparowem, przez Zamarstynów do Zboisk, a ztamtąd po pod Sroki i Laszki, aż ku Ma-

lechowu. Spojrzawszy na niego z wysokiego zamku, zdało się widzieć jakieś miasto ogromne, jakiego nie masz na całej ziemi. Namioty zrazu szły szeregiem, tworząc szerokie ulice, główne i boczne, jak w mieście, a dalej kupiły się w gromady, jak sobie województwa, albo powiaty stanowiska obrały. Były namioty tak wielkie, jak domy, z osobnemi wewnątrz izbami, niektóre z nich poopinane materjami najrozmaitszych kolorów. Województwa trzymały się razem ze swemi powiatami i ziemiami, a nad ich głównymi namiotami powiewały ich własne sztandary; nad województwem poznańskim orzeł biały bez korony, nad sandomierskiem — trzy pola czerwone i białe z gwiazdami w trzech rzędach, nad kaliskiem — udekorowana żubrza głowa z pierścieniem w pysku, nad kijowskiem — po jednej stronie anioł z mieczem i pochwą, po drugiej niedźwiedź w polu białem. Tak samo powywieszały powiaty swoje sztandary nad namiotami swych kasztelanów, a biskupi, którzy ze zbrojnemi przybyli pocztami, herby swych biskupstw: Uryel Górka poznański sztandar ze św. Piotrem, trzymającym dwa klucze w prawicy, Lubrański płocki z Najświętszą Panną, trzymającą Pana Jezusa na rękach, Jan II Pudelko łucki z Trójcą św., gdzie Bóg Ojciec trzyma przed sobą Chrystusa Pana na krzyżu, a Duch św. w postaci gołębia unosi się nad jego głowami. Zaden z panów nie wywieszał tam swoich rodowych sztandarów, jak to było w Piotrkowie, bo na wojnie się to nie godziło; byli tylko wolontaryusze, którzy własnym sumptem powystawiali większe lub mniejsze poczty, było także kilku kawalerów cudzoziemskich z własną służbą; a ci mieli sztandary według swej własnej fantazyi. Ilekroć taki wolontaryusz wjeżdżał na czele swojego pocztu do obozu, zawsze go witało okrutne bicie w kotły i bębny i niezmiernie wrzaskliwe trąbienie, a otaczało go zbie-

gowisko wszelakiej broni żołnierstwa, robiąc uwagi nad uzbrojeniem i umontowaniem jego chorągwi.

Tak zaraz w pierwszym tygodniu wjechał Tigranes z pocztem stu koni. On sam jechał na czole, a prawe skrzydło pierwszego szeregu trzymał młody Pretficz, jako porucznik. Wszyscy ci ludzie byli w pancerzach i hełmach, a na pancerzach mieli płaszcze jasno-niebieskie, podbite żółtą podszewką. Tigranes zrobił tę koncesyę miastu, iż przyjął jego kolory, toż i sztandar, co nad jego chorągwią powiewał, mieścił na sobie okręt żółty w niebieskiem polu, jako starodawny emblemat rodziny Chiaao, przyjęty przez nią na znak, jako była kupiecką i przybyła z za morza. Sztandar ten, bardzo wielkich rozmiarów i suto ozdobny długimi, wyłaczanemi wstęgami, wyhaftowała własnymi rękami ze swym fraucymerem Formoza, jakoż powszechnie dziwiono się jego okazałości, chociaż ten i ów bąknął, że kupiec, lubo taki bogaty, mógłby być na skromniejszej chorągiewce poprzestać. Jego oddział także chwalone, ale więcej z piękności koni i zbroj, aniżeli z postawy rycerskiej, a jakiś żołnierz pozwolił sobie nawet głośno powiedzieć:

— Co piękne, to smaczne, Turek to sobie polknie na pierwsze śniadanie.

Ale Tigranes nic sobie z tego nie robił, owszem, kiedy mu doniesiono, że żołnierze sobie dworują z tej chorągiewki kupieckiej, odpowiedział butnie:

— Głupi żołnierze! Niech zaczekają, a obaczą, co się z czasem z niej zrobi. A przecież ów dziś tak sławny zakon Joanitów, a teraz rodyjski, został także założony przez kupców.

Tigranes stanął ze swym hufcem na Zamarstynowie, gdzie kupiec lwowski imci pan Sommerstein, od którego też posiadłość tę Sommerstein nazwano, miał takie zabudowania obszerne, że w nich jeszcze i parę innych hufców pomieścić się mogło.

Za nim wjechał do obozu Kergolaj, ale ten całkiem inną modą wystawił swój hufiec. Miał on także tylko sto koni, ale u niego koń w konia na silnych nogach i z pierśią szeroką, toż i chłop w chłopą wszyscy ubrani i uzbrojeni ze znajomością rzemiosła rycerskiego. Kto się znał na tem, poznał zaraz na pierwszy rzut oka, że to żołnierz wytrawny a doświadczony ten hufiec prowadzi. Jego ubranie i uzbrojenie mieli dziwne cokolwiek. Każdy żołnierz miał tylko półpancerz na sobie, z przodu okryty żelazem, a na plecach tylko półpłacie; płatnerze nie mogli w tak krótkim czasie całych pancerczów dostarczyć, a zresztą Kergolaj nie dbał o to, bo mówił, że jak żołnierz jest na plecach okryty żelazem, to łatwiej tył podaje nieprzyjacielowi. Zato uzbrojenie ich było bardzo dostatnie, bo każdy żołnierz miał krótki miecz i mizerykordyę u boku, drewnianą, ale blachą żelazną pokrytą tarczę na lewem ramieniu, pod kolanem koncerz na sześć stóp długi i młot żelazny u kulbak, młot, który z jednej strony był młotem, a z drugiej siekierą do rąbania murów fortecznych. Na pancerczach zaś mieli płaszcze czarne — i to było rzeczą niezwykłą. Takie płaszcze rycerskie szły tylko do kolan, a miały rękawy tylko po łokcie, Kergolaj kazał na nich poprzyszywać białe krzyże ośmioramienne, joannickie, albo też rodyjskie, a to dawało im pozór wcale uderzający. Kergolaj sam także taki płaszcz przywdział i tak jechał na czele swojej chorągwi, w niskim uszatym hełmie z czarnymi piórami i także hełmy mieli wszyscy jego żołnierze.

Prawe skrzydło trzech pierwszych szeregów trzymali trzej bracia Bernatowicze, szlachta wielkopolska bardzo starożytnego rodu o własnym herbie, chociaż ubodzy, ale teraz już dobrze odziani, toż każdy z nich miał już swoje własne czarne pludry na sobie, z blaszanymi nagolennikami i butami okutymi w żelazo. Jeden z nich niósł sztandar także

czarny, bramowany złocistemi frendzlami, w którego środku widać było złotego lewka w niebieskiem polu. Kergolaj, nie mogąc wystawić pełnej chorągwi równającej się chorągwiom dworskim, nie miał odwagi wywiesić królewskiego orła na swoim sztandarze; chciał środkiem przepłynąć i długo się upierał przy ukoronowanej kawce halickiej, ale złośliwy Kundrat podszczuł konsulów, którzy niemało na tę chorągiew wysypali pieniędzy, ażeby nie odstąpili od swego lewka, a tak Kergolaj musiał dla miłej zgody ustąpić, a Kundrat zwyciężył. Ale Kundrat miał jeszcze z tego i tak nie mało zgryzoty, bo tę piękną chorągiew z lewkiem haftowała własnymi rękami Pachna, o czem pomału całe miasto się dowiedziało. Kergolaj wjeżdżając do obozu, kazał trąbić hasło królewskie—a to już całe obalamuciło nawet najstarszych żołnierzy.

— Świętojański krzyż sobie przyszył na pierśiach — pytał jeden drugiego — na sztandarze ma herb miasta Lemburga, a trąbi hasło królewskie; co to za dyabeł być może?

Drudzy zasie mówili:

— Mają mizerykordyą u boku, to pewno ci, co kwatery nie dają, a rannych rzeżą po gardle.

Ale inni temu przeczyli, mówiąc:

— W żalobie się czernią, to może ci rycerze-kapłani, co pielęgnują rannych, a grzebią umarłych, jako są właśnie rycerze jerozolimscy. Może papież ich przysłał naszemu królowi.

Jednakże Kergolaj, jadąc stępą wielką ulicą przez gęste tłumy rycerstwa, tu i owdzie dostrzegł znajomych i pozdrowiał ich mieczem, a ci mu także głowami kiwali, a tak od nich rozeszła się wieść po obozie:

— Francuz, powinowaty Kmitów i Lanckorońskich, Kergolaj, grabia, *eques auratus*, rycerz rodyjski, a na czas rotmistrz królewski.

Jeszcze zaledwie Kergolaj skręcił ku Zamarsty-

nowu, gdzie Tigranes dał mu gościnę, a mieszczenie mieli mu dostarczać furażów, kiedy Kierdejowicz Olizar wjechał na czele swojej sotni Kozaków do obozu. Ci wszakże znowu się zaprezentowali inaczej. Siedzieli bowiem, na małych koniach trochę chudych, ale zato niezmiernie ognistych, obrotnych i rącznych, widać było po nich, że jak ruszą z kopyta, to jak wiatr świsną, a i wiatr ich nie dogoni. Ludzie też byli młodzi jeden w drugiego, ledwie po skrzydłach widać było starych kozaków z siwemi wąsami, ubrani zaś byli lekko, w brunatnych kubrakach, w baranich czapkach, ale uzbrojeni dostatnio, bo każdy miał krzywą szablę i kindżał u boku, topór przy kulbace, a w ręku spisę z długim stalowym grotem, jak szpilka. Tylko Olizar miał na sobie bogato srebrem haftowany aksamitny kaftan, kudłatą burkę przewieszoną przez ramię, błyszczącą szablę w prawicy, kołpaczek z piórem, a siedział na tak ognistym tureckim ogierze, że i sam król byłby się go nie powstydził. Sotnia ta była prawie sowito okryta, bo było w niej najmniej półtora sta koni, a szło za nią jeszcze kilkanaście koni podwodnych i jucznych, zgoła hufczyk bardzo lekki, ale nakryty i syty, bo lud był rześki, a prawie na każdym z nich było widać i pas pozłocisty i rozmaite świedla i dobrze wyładowane wojski za terlicami. Olizar, jeżeli mu ojciec nie pomógł, niemało grzywien musiał naskubać we Lwowie, nim ten hufiec uzbroił, ale się pięknie postawił. Jakoż był w złotym humorze, witał wszystkich szablą, czy kogo znał, czy nie znał, ale miał też dużo znajomych, którzy go głośnemi wiewatami witali, zatrzymywali po drodze i żartowali z nim serdecznie, bo go wszyscy kochali. Poważni rycerze, obejrzawszy dobrze jego żołnierzy, mówili sobie:

— Do uderzenia nieprzyjaciela w czoło niewiele to warte, właśnie jakby mucha go ukąsiła, ale rwać go po bokach nikt lepiej nie potrafi od niego. Nuż

kiedy nieprzyjaciel pobity, to chroń go Boże od tych Rusinów, bo go pewnie bez miłosierdzia dobiją, a potem i koszuli na nim nie zostawiają. Jeno nie wiedzieć, gdzie będą chować klejnoty, a makaty tureckie, bo mają wojłoki tak napchane, że i tureckiej myckiby w nich nie zmieścił.

Słyszając to Olizar, spojrział na nich z litościwą pogardą i podkręciwszy wąsa, rzekł:

— *Szkoda haworyty! W mene koźdyj Kozak maje porożnyj mich pid tertyciow.*

Więc wszyscy się śmiali — a tymczasem Olizar pociągnął także na Zamarstynów.

Nazajutrz przyciągnęli Krzyżacy. Przyjechali z północy od Żółkwi — i cały obóz przeciw nim wyrnął w ulicę, bo też było co widzieć. Mieli tylko czterysta koni, dwieście rycerzy, a dwieście knechtów, ale jakie tam konie, a jakie zbroje, to ledwie najprzedniejsze chorągwie królewskie mogły się z nimi porównać.

Na czele ich jechał sam w. mistrz tego rycerskiego zakonu, Jan Tiefen, starzec już prawie zgrzybiały, z białą w pas brodą, mąż wzrostem wyniosły, ale żółtawej cery na twarzy i prawie jak gdyby był chorowity; koło niego zaś komtur, Ludwik von Steinsheim, równie potężny wzrostem, ale zdrów i w pełni sił męzkich. Za nimi ciągnęły ściśnięte szeregi rycerstwa, wszyscy na koniach ogromnych zakutych w żelazo, sami zaś w pełnych pancerzach i hełmach z piórami, a w długich białych płaszczach z wielkimi czarnymi krzyżami na piersiach. Wszystko tak lśniło się na nich, jak gdyby dopiero co wyjechali z warsztatu płatnerskiego, bo nawet knechtowie ich byli ubrani bardzo dostatnio i mieli konie takie ogromne i takie przystojne, że u nas i dobry rycerz nie pochwali się lepszym.

Tak ciągnęli zwolna z dobytymi mieczami i rozwiniętymi sztandary przez cały obóz — a nasi żołnierze witali ich milczącym zdumieniem, bo wygląd-

dali wcale jak rycerze biblijni, co smoków tratuja swojemi koñmi, a dławia kopiani i niewielu było, zwłaszcza pospolitaków, co tych rycerzy kiedykolwiek własnymi oczyma widzieli.

Ale w tej wielkiej powadze tylko przeciągnęli przez obóz i zatrzymali się dopiero w mieście pod Niskim Zamkiem, gdzie ich piękną perorą w imieniu króla witał arcybiskup lwowski, otoczony swym klerem, królewskimi urzędnikami, rajcami miasta z niezliczonym tłumem pospólstwa. Zaczem im dano kwatery w mieście, traktując ich z wielkim respektem, bo w. mistrza, komtura i kilku starszych wziął arcybiskup do siebie, zaś innych przedniejszych porozbierali prałaci i kanonicy a proboszczowie wszystkich obrządków, resztę zaś mieszczańskie do siebie, tak, że i niejednemu knechtowi dostało się spać pod kołdrą jedwabną, a nalać się miodem po same gardło. Ale bawili niedługo, bo odpocząwszy mało niewiele, pociągnęli do Halicza, gdzie się też rozłożyli obozem, czekając na rozkazy królewskie.

Wszelako podczas tego przyjęcia ich pod Niskim Zamkiem stało się trochę zgorszenia. Wybiegło tam bowiem za nimi niemało żołnierstwa z obozu, a z niem Olizar, zawsze wszystkiego bardzo ciekawy, i Kergolaj, który także jeszcze nigdy Krzyżaków nie widział. Owo stał tam także i Frąc i patrzył na te Krzyżaki z otwartą gębą, a widać, że musiał się nadać wielką pychę z tych swoich braci niemieckich, bo spostrzegłszy Olizara przy sobie, trącił go w łokieć i rzekł:

— Owo to tacy są rycerze niemieccy; w Polsce nie ujrzeć ani jednej chorągwi, coby im mogła służyć choćby za knechtów.

Bardzo to nieroztropnie zrobił Frąc, że właśnie Olizarowi taką rzecz obraźliwą powiedział, bo Olizar nigdy nie mógł cierpieć tego tłustego Niemca,

a i bez tego był dosyć porywczy, więc odpowiedział mu szorstko:

— Ot! nie plótlbyś lada czego! Widziałem ja w Piotrkowie daleko piękniejsze chorągwie, a jeszcze do tego rotmistrzują im nie tacy starzy dziadowie, co chyba piece nimi zatykać.

To znowu dotknęło Frąca, jakoż się zarumienił i rzekł:

— W Piotrkowie nie byłem, ale znam wszystkie polskie chorągwie i to powiadam waszności, że niemasz tu ani jednej takiej, coby choć mogła wodę wozić za Krzyżakami.

Na to zaś Olizar ćwiknął mu w oczy:

— Niemasz żadnej takiej chorągwi? A ja tobie powiadam, że ani ich nie policzysz. A Gniewoszowa, a Myszkowskiego, a Lanckoronskiego, a Tęczyńskich, Tarnowskich, Kmitów... I cóż ty mi gadasz takie głupstwa niemieckie?

Wszakże flegmatyczny Frąc także już wtedy pot poczuł i zawołał z drwinami:

— Gniewoszowa? Jeśliby Jan Tiefen swymi rycerzami na nią uderzył, toby się tak właśnie po niej przejechał, jak jabym się przejechał po tobie.

— Ty po mnie? taki synu! — krzyknął na niego Olizar, skoczywszy zaraz ku niemu i chwytając za szablę — dobyj miecza, ty knechcie niemiecki! dobywaj miecza, bo cię tu wypaproszę jak kota!

Frąc cofnął się o pół kroku i chwycił ręką za głownię swojego miecza — i jużby byli uderzyli na siebie, ale w tej chwili rzucili się ku nim Kergolaj i Łopatka i rozerwali ich, stając pomiędzy nimi, Kergolaj przed Frącem, a Łopatka przed Olizarem.

— Panie knecht zaśpiewał Kergolaj Frącowi w twarz — idź wasze na szyldwach i tam pilnuj swego urzędu, a nie porywaj się na rycerzy, do których jeszcze nie dorósł.

Łopatka zaś trzymał Olizara za obydwą ramiona, perswadując mu po rusku, że wprawdzie króla niemasz na zamku, ale zawsze dobyte szablę pod zamkiem królewskim, zwłaszcza w obliczu takich wysokich dygnitarzy duchownych i świeckich, to rzecz niebezpieczna i mogłaby łatwo pobudzić króla do gniewu.

Frac prędko się opamiętał, zagryzł wargi i poszedł ku bramie Niskiego Zamku, ale Olizar parsknął i fukał, jak gdyby go gad jadowity ukąsił. Nareszcie uspokoili go zwolna obydwaj przyjaciele, a Łopatka rzekł:

— Ej, wyrypaj! ty jeszcze kiedy będziesz ziemię gryzł za kobiety! Bo to i twoja złość do tego Niemca cię bierze za Pachnę. A tak mi się widzi, że żaden z was jej nie dostanie.

— Za Pachnę, albo i nie za Pachnę!—zawołał Olizar, sapiąc mocno i patrząc z boku na Kergolaja — ot! i ten Francuz smali do niej cholewki, a ja mu jej nie zazdroszczę, bo jest zacny kawaler i mój dobry przyjaciel. Ale temu Niemcowi nie dam jej nawet powąchać — a jeśli go kiedy przy niej przydybię, to go na bigos posiekam.

Na to zaś Kergolaj powiedział sentencyonalnie:

— Kiedy się dwóch ludzi nienawidzi ze sobą, co między żołnierzami często się zdarza, to niema na to innego sposobu, jak ich spuścić ze sobą. Ale w tym razie nie doradzałbym tej bitwy Olizarowi, bo Frac, chociaż podobno idzie ze szlachty niemieckiej, przecie jest tylko knechtem, a rycerzowi nie godzi się dobywać miecza na knechta, chyba żeby był napadnięty przez niego.

Kundrat, który tam także stał zblizka i słyszał wszystko, zrazu już ręce zacierał z radości, bo myślał, że Frac i Olizar pobiją się z sobą, przy czemby się było może i Kergolajowi co oberwało, gdyby się jego trzech rywale byli dobrze potłukli, zwłaszcza bez jego przyczyny, bo byłoby to nie-

ocenioną gratką dla niego. Choćby się nawet pozabijali — myślał sobie pocichu, odwracając się trochę na stronę i zatykając ręką swoje usta wiśniowe, aby kto jego myśli nie dosłyszał — tem lepiej, byłoby o tyle mniej tych zawalidrogów na świecie. — Bardzo był niekontent z Łopatki, że ich rozbroił: poco ten głupi Rusin miesza się w nie-swoje rzeczy? — Ale nareszcie musiał się zgodzić ze swym losem i nadrobić ironią, mówiąc do siebie: — Śmiać mi się chce z tych zawadyaków, co się chcą bić między sobą o moją własność; niechże się biją — a przecie Pachna będzie moja, jak tylko jeszcze cokolwiek wyszumi.

A kiedy tak cały zatopiony w samym sobie trzymał się jeszcze ręką za swoje rumiane policzki, nagle uczuł kędyś poniżej pleców but twardy, pewnie rycerski, może nawet okuty żelazem, bo aż mu się świeczki w oczach zapaliły od tego dotknięcia, a zarazem usłyszał głos gromki nad sobą:

— Poszoł! won! czego tu drogę ludziom zawałasz!

Kundrat skoczył w bok jak zając po strzale i aż kucnął przy ziemi ze strachu, patrząc okrągłemi oczyma, coby to było. I obaczył, że to był Olizar z Kergolajem, którzy się trzymali pod boki i szli do Bazaru, aby sobie tam podpić trochę na ten frasunek.

Obaczywszy, że sobie poszli i dali mu pokój, Kundrat odetchnął. O Pachnie w tej chwili wcale nie myślał — tylko pomacał się poniżej krzyżów i znalazł, że dziwnie twarde buty mają ci przekłęci rycerze.

— Rycerze! — zawołał do siebie, patrząc z pogardą za nimi — a są właśnie jak konie, co im kowają kopyta.

Ale kiedy już byli daleko, wpadł w złość okrutną, o co nietrudno było u niego, zwłaszcza w chwilach, kiedy nikogo się nie bał, wydobył

bykowiec z za pasa, co go nosił przy sobie dla utrzymania dla siebie respektu pomiędzy sklepowymi chłopcami, podniósł go w górę i zawołał za Olizarem:

— Koniu jeden, co ci podkuto kopyta! dam ja tobie nie takie poczęstne, jak kiedyś wpadniesz w moje pazury!

Miejska publika, która się tam także zgromadziła gęstymi tłumami, przyjęła te śmiałe słowa ze szmerem zadowolenia, co w Kundracie ducha podniosło i to do tego stopnia, że się do niej obrócił i dodał:

— Zaliż to nie wstyd człowiekowi, zwłaszcza kiedy się mieni szlachcicem, dać sobie kować kopyta jak koń, co go z innymi bydłętą w stajni chowamy! Ale też i bydłeta są ci rycerze i jeszcze my ich kiedy jak bydło wyrzniemy...

Na to publika odpowiedziała mu jeszcze głośniejszym szmerem zadowolenia, zaczem Kundrat był kontent i mógł sobie być odejść spokojnie. Ale na swoje nieszczęście, był on niezmiernie ciekawy— a tu właśnie teraz zaczęły się toczyć krzyżackie spiże i owe przepyszne niemieckie wozy, wszystkie polerowanem żelazem okute, malowane olejno, woskowanemi płótnami nakryte, jakich u nas nie dostrzedz nawet w obozie królewskim. Kundrat więc wcisnął się między publikę i stanął w pierwszym szeregu, aby też wszystko mógł dokładnie obejrzeć.

Kiedy człowiek ostrożny wciśnie się w tłum, bardzo dobrze robi, jeżeli się oglądnie, jacy ludzie stoją około niego, bo w ścisku czasem o jaki zbytek nietrudno. Tak zrobił także i Kundrat. Po jego lewej stał jakiś rzemieślnik, okryty skórzanym fartuchem, niewarto było nawet patrzeć na niego; ale po jego prawej stał knecht krzyżacki, całę niezwykła we Lwowie figura. Krzyżak był pewnie, bo na białawo lśniącym pancerzu miał czarny krzyż

bramowany mosiądzem i takiż krzyżyk na hełmie; przytem zaś był zapewne płatnikiem, bo z prawego ramienia na lewy bok miał przewieszoną torbę skórzaną, na której też lewą rękę wciąż trzymał. Kundrat spojrział na niego ciekawie i widział, że jest to chłop duży, o całą głowę większy od niego, chudy, ale haniebnie kościsty; miał tylko pancerz na piersiach, a zresztą był cały w skórę ubrany, buty miał ciężkie na nogach powyżej kolan i także żelazem okute. Przy torbie miał miecz wielki krzyżacki, zdaje się w srebro okuty, a tuż przy mieczu u pasa różaniec. Kundrat oglądał to wszystko bardzo ciekawie, ale ostrożnie, bo stał tuż przy nim, co mu było niedogodnem, a nawet, prawdę mówiąc, to i niebardzo mu było przyjemnie stać tak blisko przy tak haniebnie uzbrojonym i tak ogromnym dragonie. Z tego powodu chciał także wiedzieć, jak mu też z oczu patrzy, temu krzyżackiemu drabowi, zaczęł podniósłszy pomału głowę, zajrzał mu w twarz. A wtedy już się go wcale przestraszył; Krzyżak ten bowiem miał twarz tak chudą, że mu policzki zapadły, skórę na niej brunatno-żółtawą, nos jak kulbakę, a do tego ogromne wąsy ryżego koloru, które mu jak szczecina od warg odstawały. Na widok takiej straszliwej twarzy jakoś ckliwo mu się zrobiło, a że mu i w gębie zaczęło zasychać, zaczął więc ślinę przelykać i przestępywać z nogi na nogę, przyczem też wciąż łypał niespokojnemi oczyma na twarz tego Krzyżaka.

Tymczasem Krzyżak, spostrzegłszy jego niespokojne ruchy i ciągle łypanie oczyma, przycisnął torbę lepiej do siebie i już go odtąd z oka nie spuścił. Kundrat, czując na sobie oczy tego dyabelskiego człowieka, które go jakby dwa węgle jarzące w głowę paliły, zaczął coraz więcej się kręcić na miejscu, chciałby się był odsunąć od niego, ale ani sposobu, albowiem z tyłu zbity tłum ciśnie go w plecy, a z przodu chodzą starościńscy halabardnicy

i parzą każdego kijami, co wystąpi z szeregu. Tak wzięty jakby w kleszcze ogniowe, już tylko wciąż spoglądał z pode łba na tego fatalnego Krzyżaka, ażeby mu niespodzianie co złego nie zrobił.

Lecz Krzyżak, nie rozumiejąc wcale, dlaczego ten człowiek tak się kręci na nogach i ciągle w twarz mu zagląda, także się zniecierpliwił, obrócił się raźnie ku niemu, a zajrzawszy mu w oczy, dwa albo trzy razy okrutnie zgrzytnął zębami. Ten zgrzyt już wcale dyabelski takim okrutnym strachem przejął Kundrata, że się wzdrygnął i obie dwie ręce wyciągnął przed siebie; Krzyżak zaś, myśląc zapewne, że on torbę chce z niego zdzierać, niewiele myśląc, rznie go w papę raz od prawego i zaraz potem na odlew. Na taki traktament Kundratowi ziemia się pod nogami zachwiała i już miał upaść na lewo, gdzieby był właśnie wpadł prawie pod nogi tym przekętym starościńskim halabardnikom, którzyby mu za wystąpienie z szeregu byli pewnie wyspali z jakich kilkanaście kosturów, ale na jego szczęście Krzyżak rznił go jeszcze raz płaską ręką po czubie, a tak mu niechcący równowagę przywrócił. Więc Kundrat, jak tylko znowu grunt uchwycił nogami, zaraz przytomność odzyskał — a wtedy już nie czekając, uderzył w tłum, który mu się też z respektem rozstąpił, przebił się przezeń jak szydło i niebawem potem znalazł się na chodniku w ulicy, gdzie też sobie trochę odsapnął.

A odsapnąwszy, kontent był z siebie, bo jużci uszedł wielkiego niebezpieczeństwa—taki pogański Krzyżak gotów zabić człowieka, a teraz, czasu wojny, nawet i piesby za nim nie szczeknął. Mając zaś to w naturze, że się zapatrywał różowo nawet na przykre wypadki, uśmiechnął się jeszcze i rzekł sam do siebie: — Niechaj tam kto mówi co chce, przecie to w bitwie niema jak drapnąć. Coś człowiek oberwie, ale choć duszę wyniesie. Nie tak

jak ci głupi żołnierska, co się biją do ostatniego oddechu, że ich potem z placu bitwy niosą prosto na cmentarz...

Jednak idąc sobie powoli chodnikiem, wzruszył jednym ramieniem i drugim i uczył, że mu jakoś niedobrze. W krzyżach czuł ból od Olizarowego kopyta, policzki go piekły jak ogniem, a i w uszach coś mu szumiało, widać, że Krzyżak ciężką miał rękę. Dobrzeby się czem wysmarować, ano nie-wiedzieć czem, oliwą, czy okowitą, czyli też jaką dryakwią. Najlepiej podobno zrobi, jeżeli pójdzie do medyka, aby go się poradzić. A kiedy tak sobie mówi, patrzy — a tu właśnie medyk idzie ulicą ku niemu.

Był to medyk miasta, bardzo respektowany w domu Kijasa, człowiek już trochę podeszły, nie-bardzo wielki, ale barczysty, z twarzą wielką, a ogo-loną z mieszczańską, w czarnym akademickim ta-bardzie i czarnym birecie, w czarnych pończochach i błyszczących trzewikach z wielkimi stalowymi sprzączkami. Nazywał się Arystoteles Dunder i był Grek z pochodzenia (Dunder, Grek oczywiście, co też zaraz widać z nazwiska), jakoż z Kijasem zawsze rozmawiał po grecku. Był on bardzo rozumny, prawie jakby czarownik: jak tylko spojrzął na chorego, zaraz wiedział, co mu brakuje; ale że dawniej z chorągwiami chodził na wojny, więc też był wesół z żołnierska i nieraz swemi żartami lepiej pomógł choremu, niżeli drugi bańkami albo jaką dryakwią. Kundrata znalazł jak zły szeląg, jakoż skoro go spostrzegł, sam się do niego uśmiechnął, a Kundrat na to:

— *Magnificus* jak z nieba mi spadasz, bo właśnie chciałem sam iść do jegomości. Coś mnie boli, chciałbym się czem wysmarować.

Więc medyk spojrzął na niego uważnie i rzekł:
— Czy jeno waści znowu kto boków nie wy-

smarował kosturzem albo i pięścią, bo jakoś policzki masz mocno czerwone.

A Kundrat na to trochę skonfundowany:

— Poszedłem przypatrzeć się Krzyżakom, więc w tłumie zawsze człowiekowi boki obszturgają cokolwiek.

— A! więc to ztamtąd powracasz? Maszże gorączkę?

— Jużci trochę sucho mi w gębie.

— Pokażno język.

Kunrat pokazał język.

— Wyciągnij cały język — zawołał medyk — bo inaczej nic nie obaczę.

Kundrat wyciągnął język aż poniżej podbródka.

— Zamknij oczy — zawołał medyk.

Kundrat zamknął oczy.

Zamknął oczy i stoi. Ale stoi tak jedno Ave, ba, już się i drugie zaczyna, a medyk nic nie powiada. Przecież nie może tak stać przez dziesięć pacierzy.

Otworzył pół oka ostrożnie, ale jakże się zdziwił! Po medyku już i miejsce zastygło — a natomiast kilkunastu chłopców ulicznych, jako to tego licha zawsze pełno jest wszędzie, gdzie są zbiegowiska, otoczyło go półkolem, wszyscy powywałali języki, patrzą na niego i stoją.

— Ach, szelmy! — zawołał Kundrat — to jeszcze i wy będziecie mi się wydrzeźniać!

Takie zuchwalstwo ulicznych hultajów głęboko go oburzyło, jakoż natychmiast jowiszowym zapłonął gniewem, wydobył bykowiec z zą pasa i puścił się w pogoń za hultajami. Chłopcy ci, chociaż jeden niósł dzbanek, drugi konewkę, a trzeci parę butów miał w ręku, lżejsi byli od niego, więc mu się porozbiegali i mało który co od niego oberwał, ale jeden z nich trochę sporszy, a przeto i zuchwalszy od drugich, jakoś niebardzo uciekał, tego

więc Kundrat przycupił. Chłopak ten na swoje nieszczęście miał bardzo gęstą i kudłatą czuprynę, Kundrat więc wraził mu lewą rękę w czuprynę, ścisnął co siły mu stało, a prawą swoim bykowcem okrutnie mu skórę wyłoił. Zaczem, chociaż był zasapany, głowę podniósł do góry i już zdrów wtedy jak ryba, krokiem tryumfującym poszedł sobie do domu.

Olizar dał mu butem żelaznym takie poczęstne, że mu świeczki się w oczach zaiskrzyły, Krzyżak go zmłócił tak po łbie, że mu się na chwilę ziemia z pod nóg usunęła, ale nakoniec przecie odszedł z tryumfem, bo znalazł takiego, na którym odbił to wszystko w dwójnasób. Bo to tak jest między ludźmi: każdy ma kogoś nad sobą, co go z góry w łeb wali, trudno mu się obronić od niego, bo jest mocniejszy, ale zato szuka sobie słabszego, którego on znów sobą przygniecie — a wtedy już wszystko dobrze, bo tym sposobem utrzymuje się równowaga socyalna. I na takiej to równowadze, niestety, cały świat stoi — i na niej podobno stać będzie na wieki.

Stanisław Kmita stawiał się także bardzo wczas do obozu. I stawiał się bardzo pokaźnie, buńczuczno i huczno, tak, że na widok jego chorągwi tylko jeden głos poszedł po całym obozie: poznać pana po cholewach. Sam jego dwór bowiem wynosił sto pancerników na koniach wybornych, miewał on zawsze na swoim zamku sowitą garść doświadczonych żołnierzy, w jego arsenalach było zbroi i broni dostatkim, a szlachty, służącej chętnie na cudzym żołdzie, w ziemi sanockiej nie brakło. Jego dworska chorągiew była zatem dobrze okrytą, a dodawała jej jeszcze nie mało wspaniałości spora garsteczka paniąt, którzy u niego terminowali, a między którymi znajdował się także jego syn starszy, Stanisław, umyślnie przez matkę na tę wyprawę sprowadzony z Sabaudyi, wtedy

dopiero dwudziestodwuletni, lecz bardzo piękny, a w sprawach rycerskich już nawet cokolwiek sławny młodzieniec.

Ale nie na tem koniec, albowiem za jego dworem przyciągnęło pospolite ruszenie ziemi Przemyskiej, jedno z najświetniejszych pod względem koni i zbroi, bo szlachta tamtejsza była już wtedy niepomalu bogata (bogaciły ją przedewszystkiem jej pszenne ziemie i sflawy do Gdańska), a byli pomiędzy nią nawet książęta ruscy, jako Hurkonowie, Holszańscy i inni. Za tem rycerstwem konnem ciągnęli pospolitacy piesi, łucznicy i kopijnicy, których kmiecie i szlachta, posiadająca włości nadaniem lennem, musiała dostarczyć, za nimi wozy czterokonne od miast do miasteczek, co spiże wiozły za wojskiem, a wreszcie inne z namiotami, pakunkami i wiktuałami.

W sześciokonnej pozłocistej karecie, otoczonej konną młodzieżą dworską, przyciągnęła nareszcie kasztelanowa, która miała partykularne powody towarzyszyć mężowi w tej wyprawie.

Kmita stanął z całym swym dworem i z pospolitem ruszeniem w Zboiskach, których właścicielką naówczas była jakaś Comitissa Anna, nikomu zresztą nieznaną, ale znali ją pewnie Kmitowie. Stało tam wtedy na środku dosyć długiego wzgórza stare obszerne dworzysko, które razem z licznymi budynkami było okopane i jakokolwiek obronne. Tam Kmita usadowił się ze swym dworem, pospolite ruszenie rozłożyło się obozem pod namiotami wzdłuż grzbietu wzgórza po obydwóch stronach dworzyska. Z najwyższego szczytu dachów tej szlacheckiej fortecy powiewał ogromny sztandar ziemi Przemyskiej, przedstawiający białego orła dwugłowego o jednej koronie w polu błękitnem. Tak ta kasztelańska kwatera, panująca nad znaczną częścią obozu i miasta, przedstawiała się bardzo wspaniale, nawet za-

nadto wspaniale, na co też niektóre województwa sarkają, jakoby to było *contra aequalitatem*.

Jednakże Kmita, wyborny znawca serc ludzkich, prędko te sarkania przygłuszył, albowiem przyprowadził z sobą kuchnię i piwnicę i dawał codziennie obiady, przy których po sto osób siadało, wieczorami wyprawiał muzyki i tańce przystojne, na które bawiące w obozie szlachcianki zapraszał, od czasu do czasu i małych podarunków nie szczędził — a tak pomалу nietylko sarkania ucichły, ale jeszcze go pokochano i wkrótce powszechnie chwalono, podając sobie od namiotu do namiotu te słowa: Niema co mówić, co Kmita, to Kmita. Kasztelan tedy bardzo kontent był z siebie, bo poczuł się w sobie i widział, że inni go także czują, zaczęł nabierać takiej pewności siebie, że gdyby mu kto był drogę zastąpił, to gotówby mu w nos dmuchnąć, choćby to był wojewoda, a choćby też i sam król jegomość. Już nawet zaczął żałować, że dla tych głupich dwóch chłopów dziesięć lat na wsi przekwasił, tembardziej, że gdyby był jeździł na sejmy i na wyprawy jak inni, byłby się przecież zabawił, jeszcze bardziej rozjaśnił splendor swojego imienia i pewnie dawno jużby był wojewodą.

Ale kasztelanowa nie była tak bardzo zadowolona. Przyjechała ona ze swym mężem nie dlatego, daczego inne żony do obozu zjechały, przez ciekawość i dla niezwyklej rozrywki, ale z tej ważnej racy, iż się obawiała, azali jej mąż, od pewnego czasu ospały i obojętny na wszystko, wszystkich swych obowiązków dopełni. Ona to sama wyrwała niejako królowi z rąk dla niego buławę nad ziemią Przemyską; i umarłaby była ze wstydu, gdyby król mógł powiedzieć, że miał rację, bo Kmita niezdolny pospolitemu ruszeniu hetmanić. Owo z tej strony wprawdzie całkiem uspokoiła się, bo jej mąż stanął twardo na straży swojego osobistego znaczenia i ro-

du—a o tem, że tak samo stać będzie w ogniu, nie wątpiła ani na chwilę, bo przecież krew rycerska jaknajprzedniejsza w jego żyłach płynęła, zamłodu we wszystkich bitwach odznaczał się ślepa odwagą, zwłaszcza, kiedy się zgniewał; taka krew nigdy się nie starzeje, a zresztą — jeszcze żaden Kmita nie stchórzył. Zaczem z tej strony nie miała żadnej obawy: jej mąż na tej wyprawie nową się sławą okryje i swemu synowi wspaniałym zaświeci przykładem.

Ale z innego powodu dotknęło ją bardzo głębokie zmartwienie. Oto skutkiem obecności tak wielu kobiet, być może także skutkiem bliskości tak wesołego miasta, jakim Lwów był natenczas, haniebna swawola rozszalała się po całym obozie. Kasztelanowa nie mogła tego dostrzedz odrazu, ale pobywszy tylko tydzień w Zboiskach, ku wielkiemu swemu zgorszeniu dowiedziała się jaknajdokładniej o wszystkim. Dosyć jej było zresztą rozpytać się o najbliższych znajomych, ażeby powziąć wcale nie-mylne wyobrażenie o tej niesłychanej rozpuście. Do takich najbliższych jej znajomych należał przede-wszystkiem Kergolaj.

Owóz Kergolaj stał z Tigranesem i Olizarem na Zamarstynowie, gdzie Tigranes zajął bardzo obszerne domostwo Sommersteinów — a będąc bardzo bogatym i próżnym cokolwiek, rozgospodarował się tam prawie jak mały Kmita. Sprowadził kuchnię ojcowską, nie żałował piwnicy i wydawał obiady, do których także po sto osób siadało — a bodaj czy jego kuchnia, a zwłaszcza piwnica nie była lepsza niżeli kmitowska. W każdym zaś razie muzyka u niego była szumniejsza, bo jego kapelę nastroił i złożył taki wyborny znawca tych rzeczy, jak ksiądz Wara. „Xandzbyali” nie mijał nigdy domu, gdzie się kurzyło z komina, jakżeby nie miał być w takim obozie, gdzie cała Polska się zgromadziła? Do Kmity nie poszedł, bo się bał, aby go tam nie spytano

o tego konia, co go sobie na Sobniu na dni kilka pożyczył, a potem sprzedał we Lwowie razem z kulbaką. Do innej wysokiej szlachty także się nie pchał, bo to wszystko są ludzie równie niewdzięczni, jak Kmita: noszą człowieka na rękach, kiedy im trzeba oczyszczać się z grzechów śmiertelnych, a potem mu nawet mizernego probostwa nie dadzą. Ale się przyczepił do Tigranesa, bo to pan zacny i hojny i jeszcze nie zepsuty jak inni! Tigranesowi Wara był także na rękę, bo mu to pochlebiało mieć kapelana przy swojej chorągwi, którego inni nie mieli — a zresztą było to człek sprawny i bardzo usłużny, wcale niepospolitą złożył mu kapele, umiał zarządzić kuchnię i stołem jak najlepszy marszałek, dyrygował tańcami i w razie potrzeby nawet sam rewerendę zakasał, smutnego pocieszył, chorego wyleczył, a jeśli kto miał jaki grzech na sumieniu, to go i wyspowiadał, a nawet i bardzo lekką się kontentował pokutą. Za przyczyną Wary dwór Tigranesa przybrał postać nieledwie pańską, zachodziło do niego bardzo wielu rycerzy, często nawet oń jaki kasztelan zawadził, z czego Tigranes mocno był kontent, bo będąc już za pan brat z Kergolajem i Olizarem, mając nawet takiego karmazyna jak Pretficz pod swoją komendą, pobratał się teraz prawie z całym rycerstwem.

Formoza odwiedzała swojego męża prawie codziennie, lecz nie chcąc przejeżdżać sama przez obóz, a nie mogąc mieć codziennie do swej dyspozycji swojego teścia, który zresztą swych sklepów nie chciał opuszczać ani na chwilę, boć to były wielkie żniwa dla kupców, przywoziła z sobą Pachnę — a Pachna rada zawsze się bawić, a zresztą wiedząc, że nieprędko jej się zdarzy jeszcze raz hulać na takim weselu, stała się duszą biesiad u Tigranesa i ledwie że całego domu nie przewróciła do góry nogami.

Gdzie wesoło, tam ludzie radzi się garna; tak też widząc w tym domu osoby takie bogate i słuszne,

jak Formoza i Pachna, nie jeden szlachcic przyprowadził swą żonę, a zarazem i niejedna mieszcanka lwowska przyczepiła się do Pachny lub do Formozy i przyjechała na Zamarstynów, aby się trochę pobawić. Widząc to ten i ów żołnierz pancerny, że aby być u Tigranesa przyjętym, nie potrzeba legitymować się ani z herbu, ani też z intercyzy, przyprowadził jaką szlachciankę albo mieszcankę cokolwiek niższego stanu, aż wreszcie tak się tam pomieszały godności, urzędy i stany, jak to kiedyś będzie w dzień sądny, jak zawsze bywa po bitwie, gdzie wojewodzina, pielęgnująca swojego ranego męża, brata się z chłopką, obwiązującą rozbitą głowę swojego ciury, jak zresztą bywa pomiędzy żonami żołnierzy przed wojną, o której wiedzą, że na niej Turek tą samą szablą rozplata łeb wojewodzie, którą dopiero co rozpruł brzuch jego knechtowi. Tylko w szczęściu ludzie dzielą się na stany i z góry na siebie spoglądają; w nieszczęściu, a nawet już w obawie nieszczęścia przyznają się bez oporu do zupełnej równości.

Pomiędzy płcią piękną, zbierającą się u Tigranesa na te biesiady, uważano młodą przedmieszczankę, która się odznaczała nad wszystkie inne swoją skromnością i nadzwyczajnym blaskiem urody. Była to kobieta, mająca dwadzieścia dwa albo trzy lata wieku, pięknego wzrostu, włosów kruczych, bardzo sympatycznego połysku, o twarzy rysów przepyszenie pięknych, o cerze porcelanowej, chociaż cokolwiek smagławej i dużych czarnych oczach, z niezmiernie długimi rzęsami, a pełnych niewysłowionej słodyczy. Miała formy może cokolwiek zanadto okrągłe i pełne, ale było jej z niemi całkiem do twarzy, zwłaszcza, że nosiła czerwono-kwiecistą jedwabną chustkę na głowie, bardzo wdzięcznie w kształcie turbanu związaną, kilka rzędów w złoto oprawnych koralu na szyi bielszej od najpiękniejszych marmurów, inderaki i spodnice zawsze nadzwyczaj kształtnie skrojone

i piękne czerwone buciki na nogach. Z tą prześliczną urodą i pewną naturalną powagą w każdym ruchu i każdym słowie mogła być księżną albo wojewodzina i najwykwintniejsze towarzystwo ozdobić, ale po jej ubiorze widać było na pierwszy rzut oka, że jest przedmieszczanką, a po jej skromności, że nawet niczem więcej być nie chce. Jakoż skromną była nadzwyczaj: kiedy ją prawie gwałtem przyprowadzono do obiadu, to siadała zawsze na końcu stołu, tańcować nigdy nie chciała, a kiedy inni tańczyli, ona siadała w kąciку i przypatrywała się tańcom z lubością; kiedy zaś Olizar był w komnacie, to oczu nie odwróciła od niego, a wpatrywała się weń jak w obraz, z tem uczuciem szczerzej a cieplej miłości w swych pięknych oczach, nad którem jednak panuje cześć i uwielbienie. W rozmowie skąpiła słów jakby z obawy, żeby nie powiedziała jakiej niedorzeczności, mówiła jednak zawsze z uśmiechem na twarzy i zawsze takim tonem, jak gdyby przepraszała, że niegodna się w takim towarzystwie znajdować, kiedy zaś czasem Formoza do niej przemówiła, to ją całowała w rękę i kłaniała się jej do kolan, co jednych bawiło, drugich zaś ujmowało.

Z tą kobietą wszyscy chętnie mówili, chociaż mało kto wiedział, z kim mówi. Ale byli tacy, co wiedzieli, że była to sama Fesia, dla której swojego czasu niemiecki rycerz Kunc Ajchinger, mąż Pachny, złamał sobie krzyż pacierzowy pod progiem. Dla uratowania swej dobrej sławy zaraz potem poszła zamąż za tego samego kowalczuka Petrusia, co tak nielitościwie Kuncowi wjechał pomiędzy ślepie żelaznemi widłami.

Ale Petrus był wielki ladaco: zamiast pilnować tak pięknej żony, chodził po szynkach, pił i bójki wyprawiał, aż też i on trafił na swego, pobivszy się bowiem z Tatarami w gospodzie, został od nich usieczon.

Fesia tak mało go żałowała, jak Pachna swo-

jego Kunca, ale przyzwoiciej odprawiła żalobę, bo żyła spokojnie, a nawet i w pracy, zwłaszcza, że i tkackie warsztaty odziedziczyła po ojcu i kowalskie po mężu, ba i folwark ojcowski, co wszystko razem stanowiło bardzo piękny majątek. Jakoż przez długi czas nigdzie jej nie widywano, chyba że czasem Olizar z nią żarty wyprawiał w bazarze; dopiero teraz się tutaj zjawiała, nie wiedzieć kogo tu odwiedzała, ale ci, co plotki lubili, zazdrościli jej Olizarowi. Łopatka nawet, kiedy był w dobrym humorze, otwarcie go nią prześladował, a wtedy mawiał:

— Ot! dałbyś pokój tej dymce. Ona nieszczęście wodzi za sobą: Kunc dla niej kark skręcił, a jej męża posiekali Tatarzy, jeszcze i ciebie do nieboszczyków Olizarów wyprawi...

Olizar, trochę przesądny, jak wszyscy Rusini, nie lubiał takich wróżb i odpowiadał:

— Na psa urok, nie mów tak, abyś nie powiedział w złą godzinę — ale zaraz dodawał mu do ucha: — a potem znajdziesz, raz maty rodyła...

Z czego Łopatka wnosił, że Olizar, choć wicher w polu, przecie się do niej przywiązał.

Tak samo rozumiano także o Kergolaju i Pachnie, jednakże uważano, że Pachna nie z takim głębokiem a szczerem uwielbieniem patrzy na niego, jak Fesia na Olizara. Jakoż istotnie Pachna zbyt często rzucała okiem na Nizki Zamek, azali sztandar z białym orłem w czerwonym polu nie powiewa z jego dachów, coby było znakiem, że król już przyjechał. Sztandaru jeszcze dostrzedz nie mogła, trzymała się więc Kergolaja — a wiedząc dobrze, że to także wicher w polu, tak surowo a pilnie go strzegła, że kiedy Francuz, zapewne tańcami zmęczony, czasem się wymknął z gościnnej komnaty, to i ona znikwała, a wtedy, choćby już północ biła na miejskim zegarze, ani ze świecą byłby jej nikt nie odszukał.

Takie to stosunki i stosuneczki się pozawiaży-

wały w obozie. Formoza, jak każda zacna kobieta, patrzyła na nie z pobłażaniem, lecz w gruncie serca przecież to czuła, że nie powinna znajdować się w takim towarzystwie. Ale nie mogła na to poradzić, bo swemu mężowi nie miała nic do zarzucenia, a zarazem nie godziło się jej go nie odwiedzać, jak skoro to czyniły wszystkie inne kobiety. Chciała się kogo poradzić, ale nie znalazła nikogo, któryby obudził w niej zaufanie, bo wszyscy się radzi bawili; próbowała zbyteczną swawolę naganiać, ale jeszcze sobie z niej żartowano; pozostało jej chyba tylko przed kim się poskarżyć, ale i takiego, któryby ją zrozumiał i jej skargi wysłuchał, znalazła tylko jednego—a tym jednym był Lubek.

Lubek, przywiązawszy się do Tigranesa i widząc, że w tym kawalerze przymioty rycerskie nie dotrzymują kroku pięknym zaletom jego umysłu i serca, przyjął w jego chorągwi miejsce porucznika, ale przyjął je dlatego, ażeby służbą w polu nauczyć się praktyk wojennych, a wcale nie na to, ażeby ciało i duszę brukać w swawoli obozowej. Toż nie brał on nigdy udziału ani w pijatyce, ani w tańcach, ani też w innych hałaśliwych rozrywkach, natomiast zaś po parę godzin codziennie musztrował Tigranesową chorągiew, chował się w swojej izdebce i grał sobie cichutkie piosenki na mandolinie, a kiedy już musiał być obecnym w komnatach gościnnych, to siadał w odległym kąci i patrzył na te dzikie, chociaż rycerskie płąsy zamyślonemi oczyma i z właściwą jego wznioślejszej duszy dla takiej bezmyślnej swawoli pogardą. Pokrewne serca prędko się z sobą znalazły: Formoza zaraz w pierwszych dniach sama zbliżyła się do niego; im bliżej go poznawała, tem żywszą dla niego budziła w sobie sympatyę, często po całych godzinach z nim rozmawiała — a kiedy wieczorem sama wracała do domu, to zawsze Preticz ją odprowadzał. Czynił on to zawsze z wielką ochotą, bo najprzód bardzo mu miłą była rozmowa

z ciotecznią siostrą tej, której wszystkie swoje uczucia i myśli poświęcił — a potem, powracał zawsze stępą do obozu i mógł spokojnie marzyć o Jagierce, bez obawy, że obozowe hałasy przerwą mu jego marzenia.

Co się działo na Zamarstynowie, to samo i tak samo działo się po całym obozie, nawet im dalej, tem gorzej, o Srokach i Laszkach opowiadano już rzeczy ledwie do uwierzenia—a taka sama swawola rozlała się także po całym mieście. Wszystkie te wiadomości doszły prędko do uszu kasztelanowej i nadzwyczajnie ją zaniepokoiły. Jako równie zacna kobieta, była ona także pełną pobłażliwości, ale bywają zgorszenia, na które nikt obojętnie patrzeć nie może, a nawet i nie powinien, jeżeli mu jest miłą cześć społeczeństwa, do którego należy, i jeżeli kocha swój naród, którego istoty moralnej i podstaw duchowych powinien bronić wszelkimi siłami, bo na nich jego przyszłość spoczywa. Kasztelanowa była błędko przekonaną i słusznie, że naród, który kazi swe obyczaje, otwiera sobie drogę do niechybnego upadku i zguby — i już to samo było dla niej aż nadto dostatecznym powodem, ażeby się z odpowiednią tak ważnemu celowi energią o poskromienie tej swawoli postarać. Wszelako jeszcze szczególnym bodźcem do tego była dla niej ta okoliczność, że w tym rozpustnym obozie znajdował się i musiał na to wszystko patrzeć jej syn, Stanisław, młodzian-szek niewinny jak panna, rzadkich przymiotów umysłu i serca (których też później świetne złożył dowody) i rokujący najpiękniejsze nadzieje. Ale zkąd wziąć odpowiednią powagę, gdzie znaleźć skuteczne wpływy na obóz, złożony ze stu tysięcy ludzi i porwany od końca do końca szalem nieokiełznanej swawoli?

Król bawił jeszcze wtedy w Przemyślu i wcale się nie pokazywał we Lwowie. Piotr Kmita, starszy brat jej męża, pan na Wiśniczu, marszałek w ko-

ronny, mąż wielkiej powagi, wcale nie pociągnął na tę wyprawę. Krzesław z Kurozwęk, biskup kujawski, najpoważniejszy z senatorów duchownych, pojechał był właśnie w poselstwie do wojewody wołoskiego Stefana. Kamieniecki, który choć jeszcze młody, był bardzo respektowany przez szlachtę, bawił ciągle przy królu. Kasztelanowa udawała się z tem do biskupów; ale biskupi, nie czując po sobie protekcji króla, który też rzeczywiście duchowieństwu niebardzo sprzyjał, zresztą nie wiedząc wcale, co on o takiej swawoli rozumie, nie chcieli na własną rękę z żołnierstwem zadzierać, zaczęli tylko wtórowali pocichu jej skargom na tę nowożytną Sodomę i Gomore i tylko nabożeństwa odprawiali po kościołach, ażeby Bóg tę plagę odwrócił. W tem położeniu pozostał jej jeszcze tylko oboźny w. koronny, jako jedyny senator mający *autoritatem* w obozie.

Oboźnym na tę wyprawę był Jan Fredro, do niedawna jeszcze wojewoda ruski, który wszaże dla podeszłego wieku, a może raczej z familijnych powodów to województwo Tęczyńskiemu odstąpił i od lat kilku dobrze zasłużonego wczasu zażywał w Niżniowie. Jednakże, kiedy się taka wielka wojna zakurzyła na Turka, w której mieli wziąć udział Litwini, Krzyżacy, Węgrzy, Czechowie, Niemcy, a nawet i Doża wenecki, nie mógł usiedzieć w domu i sam ofiarował swe służby królowi - a to tem jeszcze skwapliwiej, ile że, lubo opływał w wszelakiej czci i dostatkach na zamku niżniowskim, bezustannie skarżył się Bogu i ludziom, że mu nie było dano zginąć śmiercią rycerską w otwartem polu i przyjdzie mu jeszcze umierać jak starej babie w pierzynach.

Jan Fredro bowiem był jednym z najznamienitszych, a wcale niespracowanym rycerzem swojego czasu. Gdzie jakie bitwy były za jego życia w Niemczech, we Włoszech, w Hiszpanii, we Francyi, jeżeli tylko podówczas spokój był w Polsce, wszędzie widziano jego hełm z białemi i błękitnemi piórami

górujący nad wszystkie inne, a jego pancerz ze srebrnym jednorożcem na piersiach znano w tych wszystkich krajach tak dobrze, jak orła dartego niemieckiego cesarza albo lilie andegaweńskie. A ile razy wdarł się najpierwszy na mury forteczne, ile wstążek i serc niewieścich zdobył po rozmaitych turniejach, ilu zuchwałych rycerzy, hersztów zbójceckich, straszliwych smoków, upiorów i sanych dyabłów w bitwach ręcznych położył, o tem pomiędzy Angielczykami nieskończone krążyły powieści, a nawet i pieśni śpiewano. Ile zaś razy bito się w Polsce od lat pięćdziesięciu, Fredro stawał zawsze w pierwszych szeregach, a ostatni konia zawracał do domu, rzucając zawsze żalosnem okiem na pole bitwy, że się już wojna skończyła. O sprawy dyplomatyczne niewiele się troszczył, polityką wcale się nie zajmował, do żadnych stronnictw nigdy nie należał; zawsze mu tylko o to chodziło, ażeby się serdecznie wygrzmocił, najprzód za honor Matki Najświętszej, do której szczególne miał nabożeństwo, a potem za zdrowie królewskie, niewiele pytając o to, jak się ten król nazywa.

Fredro miał wówczas już lat siedmdziesiąt, duży był wzrostem, niezmiernie chudy, ale mocno kościsty, niby zawiędły i zasuszony, nos miał wydatny, oczy siwe krzaczystemi brwiami nakryte, włos białý krótko strzyżony i brodę białą spadającą na piersi. Znał się na wojnie i na wszelakim rycerskiem rzemiośle, jak nikt koło niego, dla swoich ludzi był dobry i hojny, ale zarazem niesłychanie surowy, dawał im jeść i pić po samą szyję i na swawolę patrzył przez palce, ale kiedy karał, to nielitościwie, a zawsze miał przytem oczy śmiejące. Żołnierze go czcili jak Boga, chociaż go się bali jak ognia, bo każdy wiedział, że jak Fredro wyda wyrok na kogo, to chybaby ziemia się zapadła pod jego nogami, aby go nie wykonał: każe ściąć, albo

powiesić, albo i poćwiertować, niechby to nawet był jaki kasztelan lub wojewoda, jeszcze się przytem naśmieję.

Objąwszy urząd oboźnego, chociaż ten obóz nie był okopany, kazał u wstępu wielką bramę wystawić, a przy niej dwie szubienice, na znak swojej jurysdykcji, miał też owoczesnym zwyczajem księdza i kata pod ręką; ale dotąd jeszcze nikogo nie kazał powiesić, a na szubienicach wieszano tylko rzeczy znalezione w obozie, do których jeszcze nikt się nie przyznał.

Sam mieszkał w namiocie przy samej bramie (choć domków w sąsiedztwie nie brakło), nad którym powiewała chorągiew z orłem białym królewskim w czerwonym polu z jednej strony, a z drugiej z białym jednoróżcem w polu błękitnym, pod chorągwią zaś były na krzyż przybite dwa nagie miecze, pomiędzy niemi u góry hełm ze spuszczoną przyłbicą, a u dołu pancerz żelazny także z Bończą na piersiach. Przed namiotem stało we dnie i w nocy dwóch knechtów z halabardami na warcie, siadywało tam także na ławach i krzesłach polowych mnóstwo urzędników wojskowych i innych rycerzy, co przychodzili z raportami lub ze skargami, za namiotem zaś stało również we dnie i w nocy dwunastu żołnierzy przy koniach osiodłanych, na posyłki i na wypadek alarmu.

Oboźny dużo gości przyjmował u siebie, bo miał kuchnię i piwnicę z sobą, a jako stary kawaler, nie potrzebował się oszczędzać; najpierwsi dygnitarze bywali u niego, bywał także Olizar, bo Fredro, rodząc się z jego babki Kierdejowiczówny, był mu jakoby wujem. Codziennie sam jakąś część obozu objeżdżał i wszystko zblizka oglądał, ale nikomu żadnego wstępu nie czynił. Kiedy czasem spostrzegł żołnierzy bijących się z sobą, to im się przypatrywał ciekawie, bo bitwę lubiał niezmiernie, a kiedy spotkał jaką młodą kobietę, to zaw-

sze się do niej uśmiechnął, a często i powitał ją takim żartem, że i trudnoby go powtórzyć. Wszelako i sam starszyznę odwiedzał po jej namiotach i dworkach, gdzie go też chętnie widywano, bo był jak słońce, co chmury rozpędza i rozwesela serce człowieka. Bywał także czasem u Kmitów.

Taką tedy sposobność uchwyciła kasztelanowa i jednego dnia przedłożyła mu wszystkie swe skargi na obozową swawolę. Fredro ją wysłuchał cierpliwie, ale z ciągłym uśmiechem na twarzy, a kiedy skończyła, rzekł do niej:

— Bardzo to ciężkie *gravamina*. Cóż tedy zrobimy z tymi hultajami? To chyba każę ich wszystkich pościnać.

Kasztelanowa widząc, że obożny nietylko nie podziela jej oburzenia, ale jeszcze sobie żartuje, zabrała znów głos i przedstawiła mu bardzo wymownie, że tu nie chodzi wcale o karanie żołnierzy, tylko o poskromienie swawoli.

— Nie chcecie ich karać — rzekł na to Fredro — a przecie żądacie kary. Bo jeżeli ja żołnierzowi zakażę rozrywki, której on pragnie, a która mu się Bogiem a prawdą należy, to właśnie jak gdybym go zamknął do ciupy... a ciupa to kara.

— Rozrywki! — zawołała kasztelanowa — ależ to przecież nie można nazwać rozrywką, gdzie obce kobiety po całych nocach hulają w obozie, a niektóre z nich dopiero nazajutrz rano wracają do domu.

— Obce? — zapytał Fredro — a jeśli to swoje?

Kasztelanowa zacisnęła ręce przed sobą i przeszła się po komnacie, bo już nie wiedziała, co na to powiedzieć. Zaczem obożny uśmiechnął się znów i rzekł:

— Pomówmyż o tem rozumnie. Jejmość. jak widzę, po raz pierwszy w swem życiu jesteś w obozie. Gdyby nie to, tobyś już dawno wiedziała, że obóz to nie klasztor, chociaż i po klasztorach, ja-

ko to wiem z doświadczenia, nie wszystkie rozrywki według katechizmu się odprawiają. A cóż dopiero żołnierz? A wiesz waszmość pani, co to jest żołnierz? Żołnierz, to człowiek na śmierć skazany. Dziś jest zdrów i wesół, a jutro go krucy dziobią na pobojuwisku. Owoż u nas jest taki zwyczaj, że nawet złoczyńcy na śmierć skazanemu, jeżeli nie był gorącym sądem sądzony, dajemy trzy dni przed śmiercią, aby sobie pohulał. Mielizbyśmy tego żołnierzowi zabronić, co nie jest złoczyńcą, a karku nastawia za ojczyznę i króla? Ale taka to jest nielitościwość u kobiet. Żołnierz ma najprzód służyć płci pięknej, a wtedy słuź twardo a wiernie i daj za nią swe zdrowie, bo inaczej cię wypchnie i weźmie innego, zaś za ojczyznę i króla daj życie, a nie śmiesz się nawet poweselić przed śmiercią. Powiedzże mi jejmość sama na twoje sumienie, czy chciałabyś być żołnierzem za takim kontraktem?

Kasztelanowa coraz więcej się niecierpliwiła, aż zawołała nareszcie:

— Ale mój syn! mój syn, co musi patrzeć na takie zgorzenie!

— Słuchajże, moja troskliwa mateczko — rzekł na to Fredro — powiem ci coś, co cię może od zawodu ochroni. Jeżeli twój syn ma być takim żołnierzem, co wciąż mówi pacierze, a oczy odwraca od takiego namiotu, z pod którego trzewik wygląda, to daj go lepiej Panu Bogu na służbę, bo na wojnie niczego się nie dosłuży.

— Nie miałam o tem wyobrażenia — zawołała na to rozdrażniona kasztelanowa — że między wami takie są obyczaje! To niech tam... to niech tam już starsi robią sobie, co chcą, ale niechże przynajmniej nie dopuszczają się takiej rozpusty, z której takie gorszące rodzą się skutki.

— Więc dobrze — rzecze obożny — więc ja się z twoim mężem poradzę, a potem takie postanowimy prawo, że każdy żołnierz, co spleta coś takie-

go, z czego się jaki skutek urodzi, będzie ćwiertowany. Ale to będzie można wiedzieć dopiero za dziewięć miesięcy...

Na ten żart żołnierski kasztelanowa już wcale gniewem splonęła i zawołała:

— Jaki pan, taki kram! Pod tym królem podobnoście wszyscy jednacy...

Szczęściem, że na to inne nadeszły osoby, a tak się ta rozmowa przerwała.

Tej nocy, rozmyślając nad tą rozmową, kasztelanowa jeszcze sobie robiła wyrzuty, że z Fredrem o tem gadała. — Nigdy sobie tego nie daruję — mówiła do siebie — żem na taką nedorzeczną myśl wpadła, ażeby od niego wymagać poskromienia swawoli żołnierskiej. Jak gdybym też nie wiedziała, z kim mam do czynienia! Przecie cały świat wie o tem, że pięćdziesiąt pojedynków odbył w swem życiu, a wszystkie za kobiety. Przecie to on odpowiedział starej królowej, kiedy go zapytała, czemu dotąd się nie ożenił, że pięćdziesiąt razy już szedł do ślubu, ale nigdy nie mógł dojść do ołtarza, zawsze w pół drogi zaplątał się w jakąś spódnicę i upadł. Piękny to będzie oboźny! Obaczymy, jaką to walecznością wsławią się ci jego żołnierze, co także w pół drogi tak się poplątali w spódnicę...

Tak sobie myślała kasztelanowa wśród nocy bezsennej, ale mimo to, nie porzuciła swojego zamiaru. Była w tej matronie chrześcijańskiej wytrwałość rzymska w zasadach i przedsięwzięciach. Po dokładniejszym rozmyśle zdawało jej się nawet, że Fredro, człowiek rozumny i zacny, w gruncie serca nie może pochwalać tej rozpusty obozowej. Jeżeli jej nie poskramia surowo, to musi do tego mieć jakieś inne powody, może nawet instrukcyje od króla, o którym ciągle chodziły wieści, że wszelkimi środkami pracuje nad zdemoralizowaniem szlachty. aby ją mógł tem łatwiej okiełznać. Fredro możeby

zresztą coś zrobił, gdyby z innej strony nacisk na niego wywarto, ale stary żołnierz uważałby to za słabość, gdyby usłuchał rady kobiety... Idąc tym torem myśli, przyszła do przekonania, że na drodze urzędowej nic zrobić się nie da. A wtedy przyszło jej na myśl, że możeby o. Chryzostom coś na to poradził. Jakoż zaraz nazajutrz pchnęła zaufanego gońca do Chryzostoma.

Ojciec Chryzostom od przeszłej jesieni, od swego powrotu z zamku na Sobniu, nie ruszał się ani na krok ze swego eremu. Prowadził życie bardzo spokojne, trawiając dnie i wieczory na modłach, na czytaniu ksiąg świętych, na rozmyślaniu i na rozmaitych pokutach, które sam sobie zadawał. Zajmował się przytem gorliwie biednymi ludźmi, którzy zdaleka i zblizka przychodzili do niego po naukę, po radę, po błogosławieństwo, po pomoc w potrzebach duchowych i cielesnych. Sława jego świętobliwości, rozumu i mocy leczenia wszelkich dolegliwości coraz bardziej się rozszerzała; jakoż nie było dnia, w którymby nie zjawilo się u niego choć kilkunastu nieszczęśliwych, pomiędzy którymi można było widzieć szlachtę i kmieci, czasem nawet kobiety z zamożnych domów, a którzy wszyscy szli do spowiedzi, przez noc odprawiali rozmaite pokuty, nazajutrz znów szli do spowiedzi i jedni przystępowali do Stołu Pańskiego, a drudzy pozostawali na rekolekcyach. Zaś w niedziele i święta odprawiały się nabożeństwa solenne, na które tak liczne zbiegały się tłumy, że ani dziesiąta ich część nie mogła w kościółku się pomieścić, zaczem zalegały szerokie brzegi stawu i puszczy, radzi, jeżeli mogli przynajmniej dzwonek kościelny usłyszeć.

O. Chryzostom kontent był z siebie, codziennie dziękował Bogu, że praca jego przynosi ludziom pożytek i niczego nie pragnął, jak żeby mógł

dalej prowadzić ją w spokoju. Wtedy też zwykle przed zachodem słońca zasiadał samotnie na przyźbie klasztoru, wpatrywał się w staw i w niebo łączące się z wodami stawu i marzył w pokorze i skrusze o tym dniu wielkim i świętym, w którym anioł śmierci zamknie mu powieki, a dusza jego, wybiełona z grzechów ziemskich pokutą, uleci w niebo i będzie oglądała promieniste oblicze tej matki Najświętszej, która go swoim zjawieniem się we śnie wyrwała z światowych obłądów i sprowadziła na drogę prawdy i cnoty. Taki spokój duszy z takim widokiem za grobem jest najwyższem szczęściem człowieka na ziemi; bodajby go każdy dostąpił, a dostąpiwszy, nigdy nie stracił.

Ale dopóki człowiek żyje na ziemi, choćby się duchem podniósł najwyżej, zawsze ludzkim losom ulega. Od czasu, jak król wojnę ogłosił, a cała Polska wstrząsnęła się pochodem pospolitego ruszenia, spokój duszy Chryzostoma także się zamącił. Człowiekiem był i rycerzem, na odgłos wojny krew w nim zawrzała; był przytem kapłanem, wojna przeciwko wrogom Chrystusowego krzyża zaczęła działać na jego imaginacyę. Bisurmańscy wyznawcy półksiężycy zabrali Carogród, zdobyli Białogród i Kilię, położyli swoją plugawą rękę na Krymie i Wołoszczyźnie, i coraz dalej się posuwają w kraje chrześcijańskie, ba wcale już jak chmura gradowa zawiśli nad Chrystusowem królestwem na ziemi, teraz narzeczcie taka potężna wojna przeciwko się nim podniosła — a onby miał nie być pomiędzy tymi, którzy za Chrystusa będą krew swoją przelewać? — Te myśli dręczyły go we dnie i w nocy, i zrazu nie umiał im się obronić. Jednakże po dokładniejszym rozmyśle powiedział sobie, że już jest stary, że mu krew w żyłach zakrzepła, że mu ręce zgrabniały, że w swoim ciele nie ma już siły, że wreszcie rzemiosło rycerskie przestało być jego powołaniem—

a tak pomału dawny spokój duszy w sobie przywrócił.

Wszelako niebawem zaczęły go dolatywać zrazu głucho, lecz potem coraz wyraźniejsze wieści o niesłychanej swawoli, ba nawet rozpuście, która się rozwieliżniła w obozie pod Lwowem. Kmiecie, co mieli synów w służbie wojskowej u panów, przejeżdżający kupcy ze Lwowa, szlachcianki wreszcie, co powracały z obozu i u niego się spowiadały, wszyscy mu tę swawolę w tak jaskrawych malowali kolorach, jak gdyby to już była Kapua albo zgoła Sodoma i Gomora. Jeśliby to tak było wistocie, to położyłby ten wielką zasługę wobec Boga i swojej ojczyzny, ktoby tę swawolę poskromił — a do tego on czuł w sobie dostatek siły i posłannictwo takie byłoby wcale zgodnem z jego dzisiejszem powołaniem kapłańskiem. Zaczem zaczął nad tem rozmyślać, wieściom tym wierzył i nie wierzył, szukał oświecenia w swoim rozumie, ale go nie znalazł, podwoił więc swoje modlitwy i czekał Bożego natchnienia.

Wśród takiego usposobienia zastał go goniec od kasztelanowej. Przeczytawszy jej listy, nie mógł już wątpić ani na chwilę, że te trudne do uwierzenia wieści są prawdą — i postanowił bez zwłoki do obozu wyjechać.

Ale Chryzostom miał zwyczaj, jak w swoim rozumie powziął jakie postanowienie, nim je miał wykonać, pierwej się Pana Boga poradzić, który zawsze w ten sposób lub ów zsyłał na niego natchnienie. Tak i teraz postąpił i strawił całą noc na modlitwach, leżąc krzyżem w kościele. I miał takie natchnienie, ażeby szedł do Lwowa i opowiadając słowo Boże, zażegnał rozpustę w obozie.

Ale miał przytem widzenie, albowiem wśród modlitwy usłyszał szmer u ołtarza — a kiedy głowę podniósł z prochu, obaczył ołtarz płonący tak jasną światłością, iż olśniał i znowu twarz położył na

ziemi, bo czuł, że nie jest godzien oglądać tej promienistej twarzy, która u ołtarza objawiła się w ogniach. Wszelako, chociaż miał oczy zamknięte i przyciśnięte do ziemi, widział Bożego anioła, który stał na ołtarzu, ognisty miecz trzymał podniesiony do góry w prawicy, a białe szaty jego spływały z ołtarza jak fala wody spadającej ze skały. A wtedy usłyszał głos, jakoby arfy grającej, który mówił do niego: — Idź, a niechaj słowo twoje będzie „głośnym dzwonem i trąbą nauki Bożej”, albowiem Pan Bóg daje tobie taką moc, jakiej ani aniołom, ani archaniołom zlecić nie chciał. Idź i szafuj tem, co jest w niebie, a jeśli „obronisz to miasto dla mnie i dla Dawida sługi mego”, będzie ci dano położyć głowę twoją za twoją wiarę i zmieszać krew twoją z krwią Chrystusową.

Z niektórych słów tej przemowy poznał zaraz, że był to sam św. Jan Chryzostom, który mu się w postaci anioła objawił, ale powiedział mu słowa nie swoje, tylko te, z którymi był posłan do niego. Zaczem duch jego nastroił się bardzo wysoko, albowiem otworzył mu się widok męczeńskiej śmierci za wiarę, widok tak słodki a wzniosły, że o nim nie śmiał dotąd ani zamarzyć...

Dlatego nazajutrz rano zapowiedział swym mnichom, że za maluczko wyjeżdża z poselstwem Bożem, z którego może już nie powróci. Przez cały dzień był zajęty sprawami swego eremu, przejrzał inwentarz tego ubogiego przybytku, wzbogacił go swym testamentem, zamianował swojego namiestnika, kazał swoją zbroję i broń oczyścić, konie nakarmić, juki przysposobić — a na dzień następny urządzać solenne w kościele nabożeństwo.

Nabożeństwo to trwało z małemi przerwami od świtu do ciemnej nocy. Mały kościółek był przepełniony, a nieprzejrzane tłumy ludu zalegały brzegi stawu i puszczy naokoło klasztoru. W kościele odprawiały się msze św. jedna za drugą — a około ko-

ściola siedzieli księża zakonni i świeccy, co z okolic przybyli, za drewnianymi stołami, spowiadając pobożnych i udzielając odpustów. Dopiero o zmroku się te tłumy powoli rozeszły, jedni z ciężkim smutkiem na sercu, że ten przeznaczony klasztor zostanie na jakiś czas osierocony, inni ze łzami w oczach, bo głucha wieść się rozeszła pomiędzy nimi, że jego przełożony może nie wróci; trzeci zaś, oglądając się tęskniami oczyma za siebie, widzieli jawnie, jako o. Chryzostom, w olbrzymiej postaci, wychylił się powyżej pasa nad puszcę leśną i podniesioną ręką kiwał ku Lwowu, jakoby zapowiadając miastu i obozowi swoje rychłe przybycie. W ręce tej widać było wyraźnie krzyż i różaniec, na plecach jego kaptur się wzdymał jak żagiel okrętu, a brodę rozwiewał wiatr, jak gdyby ogon komety.

Następnego dnia o samym świcie Chryzostom wsiadł na koń, wziął dwóch fratrów ze sobą i ruszył ku Lwowu. A jak tylko wyjechał na wielki gościniec, ze wszystkich osad i wsi okolicznych zbiegały się ku niemu gromady wiejskiego ludu, z rozwiniętymi chorągwiami ich kościołów i cerkwi i ze swymi księżmi w ornatach na czele i kłaniały się przed nim, klękając na kolana i spuszcżając chorągwie ku ziemi, właśnie jak łany pszenicy kłaniają się słońcu. Niektóre z nich odprowadziły go aż do kopców granicznych, a inne, które mieszkały w pobliżu Lwowa, ciągnęły za nim aż do bram, a nawet w ulice samego miasta...

W obozie już dnia poprzedniego wieczorem przeleciała głucha wieść od końca do końca, że ma się zjawić jakiś biskup albo też wielki kaznodzieja pośród żołnierzy, ażeby ich gronić za obozową swawolę i napominać do skruchy, a wieść do poprawy. Jedni powiadali, że król, drudzy zaśie, że papież, dowiedziawszy się, że żołnierstwo skaziło swe obyczaje i ugrzęzło w grzesznej rozpuście, przysyła

swojego legata, ażeby te wykroczenia poskromić. Wieść ta wionęła przez wszystkie namioty, jak wicher gorący i jak wicher taki warzy liście zielone krzewin i traw, tak ona zwarzyła rozweselone serca i pokruszyła zuchwałę sumienia grzeszników. Jakoż już tego wieczora ten i ów uderzył się w piersi, drugi odwołał biesiadę już zapowiedzianą u siebie, niektóry rotmistrz kazał powypędzać białogłowy z namiotów—a w jednym pułku halabardników pieszych, których też zwano husytami, żołnierze się zburzyli i dziesiętnika ubili, który im zakazywał swawoli.

Musiał też i między starszyzną jakiś inny duch zawiąć w tej samej chwili, bo nazajutrz oboźny zerwał się bardzo rano, otoczył się rotmistrzami i porucznikami i pojechał do tych Husytów, którzy stali w polu pod samemi Laszkami. Jadąc zaś, wziął dwunastu pancerników ze sobą, a zarazem kazał Gewaltigerowi wsiąść na koń, ten zaś kazał jechać katowi za sobą, który w czerwone szaty i czerwoną uszatą czapkę ubrany, miał miecz i topór błyszczący za szerokim pasem skórzanym, za nim zaś jechali również na koniach dwaj butle z toporami u siodeł i pękami postronków.

Przyjechawszy do Laszek, Fredro złożył zaraz gorący sąd na husytów i jednego z nich, którego przekonano świadkami, jako pierwszy się rzucił na dziesiętnika, zasądził na śmierć i kazał go *stante pede* powiesić. Kiedy zaś Husyci na to mruzcili, podjechał ku nim sam jeden, ażeby widzieli, że się wcale nie boi ich buntowniczych pogroźek i powiedział im wielkim głosem z niemiecka: Jako nie zabrania im żadnej przystojnej rozrywki, jako nawet na mniej przystojne patrzy przez szpary, ale jeśliby który ukradł, zrabował, zgwałcił lub mężobójstwo popełnił, to go każe tak samo obwiesić.—Po tej przemowie mruczenie pomiędzy tymi pogany ustało, zaczęł Fredro, zawsze otoczony tą samą świtą, z Gewaltigerem

i katem za sobą, objeżdżał wszystkie chorągwie, zatrzymując się przy każdej, u kasztelana, rotmistrza lub porucznika, rozmawiając z każdym na osobności i powiadając, że dopełniły się czasy tej obozowej swawoli, zaczem powinni ją powstrzymać, bo wstyd i hańba i kara Boża już są niedaleko.

Wracając do swego namiotu, widział wielkie zbiegowisko żołnierzy i rozmaitego innego ludu w głównej ulicy obozowej — a kiedy się doń przybliżył, obaczył owego chłopca, o którym oddawna już wieści chodziły, ale którego jeszcze nie widział, jako stał pośród tłumów i kazał.

Chłop to był jak drugi, z długimi włosami spadającymi w nieładzie na plecy i z długą brodą, jeno, że twarz miał bardzo bladą, właśnie jak gdyby już jaki czas w grobie przeleżał. Miał też długą białą płóciennicę na sobie, ale razem z koszulą szeroko rozwartą na piersiach, a na boku piersi miał ranę, która we krwi zakrzepła, a była całę podobną do rany Chrystusa Pana, którą otrzymał na krzyżu od włóczni pogańskiej; na rękach zaś i na bosych nogach miał także plamy czerwone.

O tym chłopie mówiono, co też i później pisano, «jakoby miał głowę skażoną»; ale po jego mowie tego widać nie było, a od jego postaci, że przypominał obraz Ukrzyżowanego, szła groza i lęk między ludzi, jakoż go wszyscy z wielką ciekawością słuchali. On zaś ich napominał, aby się opamiętali w swawoli, groził im niebieskimi karami, a czasem i słowa Pisma św. nawoływał, chociaż niebardzo uczenie. Wszelako powtarzał wciąż, ażeby porzucili biesiady i czynili pokutę, a Boga się bali, bo (mówił) idzie ktoś za nim, co jest mocniejszy od niego, a który rozpustnych smagać będzie Duchem Św. a ogniem.

Fredro pytał tych ludzi, dlaczego się tak kupią i już chciał ich rozpedzać a płoszyć, ale widząc,

że on chłop ich do poprawy namawia, dał im pokój, a objechawszy ich, zsiadł z konia przed swoim namiotem.

Zaraz też usiadł na krześle polowem dla wypoczynku, a jego oficerowie jedni także usiedli, drudzy zaś stali, wiodąc z nim stateczną rozmowę, ucząc się od niego, albo też z nim się weseląc, bo Fredro był bardzo wymowny: kiedy dał komu jaką naukę, to warto ją było pamiętać, a kiedy żartował, to wszystkim serce się radowało. A kiedy tak rozmawiali ze sobą, nim się na wieczerze rozeszli, bo wtedy już słońce zaczęło zachodzić, ludzie, co zbiegowisko czynili, zaczęli odbiegać chłopca, a gromadzić się około wielkiej bramy obozu, albowiem właśnie przez tę bramę inni goście wjeżdżali.

A który jechał na przedzie, siedział na koniu białym jak mleko, a bardzo wspaniałym. Był to koń pewno już stary, ale wielki, rycerski, on prawdziwy *dextrarius*, co z młodu swoją szeroką piersią o niejedną fortecę uderzał; dzisiaj szedł krokiem rozważnym, ale nogi jeszcze wysoko podnosił i głowę niósł górną, jako król, który zgrzybiały, co chociaż mu głowa się trzęsie, przecie nią jeszcze jak orzeł z obłoków spogląda na ludzi.

Na koniu zaś siedział o. Chryzostom, w pancerzu i hełmie.

Pancerz to był bardzo misterny, z samych wązkich pierścieni złożony, teraz już zardzewiały cokolwiek, jeno na jego piersi błyszczał złoty obrazek Matki Najświętszej, na hełmie zaś siedział widoczny po piersi lew bez korony pomiędzy dwiema trąbami, a nad nim powiewały pióra czerwone i białe. Na pancerz, zamiast rycerskiego płaszcza, zarzucił habit franciszkański z kapturem, jeno z przodu całkiem otwarty, zaś na piersi habitu przyszyty miał biały krzyż rodyjski, ośmioramienny. W lewej ręce razem z cugłami trzymał krzyż dosyć duży ze

znakiem Męki Pańskiej, a w prawicy ogromny miecz wężykowaty, mocno błyszczący. Za nim jechało dwóch fratrów na koniach, prowadząc pomiędzy sobą konia obciążonego jukami; w tych jukach znajdowały się ornat, stuła i komża, a przy nich inna skromniutka chudoba tego rycerza-kapłana.

Kiedy go Fredro tak wjeżdżającego obaczył, wstał z krzesła i przyłożył rękę do skroni, aby się od promieni zachodzącego słońca zaslonić; ale w oka mgnieniu go poznał, bo zaraz przystąpił do niego i zawołał:

— Kmita! stary druh Kmita!

Ścisnąwszy go zaś za rękę i spojrzawszy na jego miecz archanielski, rzekł żartobliwie:

— *Où vas tu, avec ton grand couteau?
Couper les têtes, je suis bourreau.*

Była to pierwsza zwrotka starej prowansalskiej pieśni, którą obydwaj umieli na pamięć i może nieraz razem śpiewali. A Kmita mu odpowiedział na to z uśmiechem:

— *Couper les têtes, sauver les ames...*

Więc na to znów Fredro serdecznie się rozweselił i rzekł:

— Bóg ciebie natchnął, żeś tu przyjechał. Kiedym cię spostrzegł, właśnie jak gdyby mi lat czterdzieści ubyło. Gdzie te czasy, a te nasze młode lata, we Francyi, we Włoszech a w Ziemi Świętej, a po zamkach niemieckich, a między niemieckimi panami... Zsiadajże z konia, a chodź do mego namiotu, bo u mnie zamieszkasz.

Na to Chryzostom cokolwiek się zamyślił i rzekł:

— Chciałem jechać do Zboisk.

— A cobyś ty tam robił w Zboiskach pomiędzy babami? Chodź do mnie. A kiedy zechcesz, to ci każę całe Zboiska tu przyprowadzić, dla ciebie zrobię nawet takie niepospolite ruszenie.

Na to więc Chryzostom spojrział na niego, uśmiechnął się i spytał:

— Spodziewam się przecie, że nie masz białogłów u siebie, jak to podobno po innych namiotach...

A na to Fredro:

— U mnie białogowy już dawno do mitologii należą, nawet i ty takiego cudu nie zrobisz...

— Więc tedy stanę u ciebie — rzekł Kmita — bo też każdemu miło być pod oboźnego opieką.

Zaczem zsiadł z konia i szli do namiotu.

A kiedy pod namiotem, jako starzy przyjaciele towarzysze, jeszcze raz się powitali:

— Słysz, Fredro — rzecze jemu Chryzostom — chodzą wieści po kraju, że w waszym obozie okrutna panuje rozpusta. Wiem, że ty mi nie skłamiesz: jestli to prawda?

— Juści ludzie się rozahulali cokolwiek, tak szlachta, jak i żołnierze...

— Czemuż ty temu nie radzisz? Przecie jako oboźny masz *autoritatem*, a nawet i prawo miecza w potrzebie.

— Juźci mam, ale mam też od króla instrukcye, abym się nie naprzykrzał żołnierzom.

— Ale ja nie mam od króla instrukcyj — rzecze na to Chryzostom, głowę podnosząc do góry.

— Cóż zrobisz? — spyta go Fredro — trudno ci wypowiadać wojnę władzy królewskiej.

A na to mu odpowie Chryzostom prawie słowami swego św. patrona:

— Będę tym ludziom ofiarował kadzenie, bom jest sprawiedliwy. Król za swoim płotem zostanie, albowiem inne są granice królewskie, a inne kapłańskie. Moje królestwo większe jest, niżeli to, nad którem on króluje. Azaliż król nie schyla swej

głowy pod ręką kapłańską? azaliż i w Piśmie starem nie pomazują królów kapłani? Król sprawuje to, co na ziemi jest, a kapłańskie prawo z nieba zstępuje. Nie będę cale pytał o króla, a spełnię to, czem mnie Bóg natchnął i z czem mnie posłał do tego obozu. A ty mi z twego urzędu do tego pomożesz.

— Juryzdykcya jest tutaj przy mnie — rzecze mu Fredro — ale jeżeli kto zechce karcieć swawolę słowem Bożem, temu wstrętu czynić nie będę, owszem rad mu pomogę.

Poczem zasiedli do wieczerzy i jedli i długo w noc się namawiali ze sobą.

Nazajutz rano, o samym świcie, zaczęto budować ołtarz w środku obozu. Postawiono go na małym wzgórzu, a zbudowano z drzewa, ozdobiono makatami poznoszonymi z przedniejszych namiotów i obwieszono chorągwiami, których sobie pożyczono w pobliskich cerkiewkach. Obok ołtarza zbudowano ambonę, którą także przyozdobiono makatami i dywanami. We dwie godziny na dzień przyjechał arcybiskup lwowski w asystencyi kanoników katedralnych i ołtarz poświęcił — a już wtedy bardzo liczne tłumy żołnierstwa i ciurów, przekupniów, szynkarzy i rozmaitego innego ludu, zaczęły się około ołtarza zgromadzać i przypatrywać bardzo ciekawie tym przygotowaniom. Rozmaite głosy szły między tłumem: wszyscy widzieli, że się na jakieś wielkie nabożeństwo zanosi, ale różnie je sobie tłumaczono. Jedni mówili, że legat papieski przyjechał, drudzy, że jakiś cudotwórca, co leczy chorych i wskrzesza umarłych, inni, że przybyli misjonarze i apostołowie, co jadą Turków na wiarę chrześcijańską nawracać, a wojska polskie mają ciągnąć za nimi. Wieści te, że się dzieć będzie coś nadzwyczajnego, rozsiewały bojaźń Bożą po sercach i przygotowywały sumienia grzeszników do skruchy.

Arcybiskup, poświęciwszy ołtarz, odjechał do

Lwowa — a wkrótce po jego odjeździe o. Chryzostom w ornacie i w otoczeniu księży Franciszkanów w kapach, komżach i stułach, wstąpił na najwyższy stopień ołtarza i zaczął odprawiać mszę świętą. Msza była solenna, śpiewana jak *summa*, a chór rybaków lwowskich, pod przewodnictwem katedralnego kantora, towarzyszył jej gędźbą i śpiewem.

Natenczas około ołtarza zgromadziła się już prawie cała starszyzna obozu, wojewodowie i kasztelanowie, rotmistrze i porucznicy, rycerstwa wszelakiej broni, tysięcy i sotników, tak wielka gromada, zaś między nimi ich żon tak wielkie mnóstwo, że już tam żaden człek prosty ani na tysiąc kroków się nie docisnął, bo też halabardnicy wszelkie tałajstwo kijami płoszyli, odmiatając je jaknajdalej od obozowej starszyny. Tłumy te odpływały na wszystkie strony i gromadziły się na miejscach cokolwiek wynioślejszych, z kądyby mogły ołtarz obaczyć, inni zaś wylazili na drzewa i dachy domów porozrzucanych po tych przedmieściach. Wszelako nie widzieć nie mogli krom dymów kadzideł, co się ponad ołtarzem chmurami wznosiły, słyszeli także niektóre akordy gędźby a śpiewów, o ile im je wiatr przynosił.

Po skończonej sumie o. Chryzostom wstąpił na ambonę, ażeby prawić kazanie. Natenczas, ile że ambona była bardzo wysoka, dojrzały go tłumy nawet oddalone; natomiast zaś gromady starszyny, już przedtem gęsto zbite przy sobie, tak się ścisnęły koło ambony, że najbliżsi już twarzy kaznodziei widzieć nie mogli, tylko głos jego słyszeli.

Ojciec Chryzostom, stanąwszy na ambonie, podniósł głowę do góry i powiódł okiem dokoła, jak daleko wzrok jego mógł donieść — a wtedy ujrzał widowisko, jakie tylko niewielu wybranym mówcom

kościelnym, a chyba apostołom zdarzyło się widzieć.

Albowiem nietylko ta cała równina, co stanowiła środek obozu, była tak gęsto nabita ludem, że i szpilki nie było gdzie rzucić, nietylko, że wszystkie drzewa i dachy wszelakich budynków były ludźmi jakoby rojącemi się pszczołami nakryte, ale i na wszystkich wzgórzach odległych rozlegały się rzesze wiejskiego ludu, właśnie jak gdyby już przyszedł dzień ostateczny, i nie słowo Boże miało być opowiadane przez usta sługi Kościoła, ale jak gdyby aniołowie mieli lecieć powietrzem i uderzyć w trąby na sąd wszystkich zmarłych pokoleń.

Widząc to, Chryzostom uczuł dreszcz po wszystkim swem ciele, bo nie wiedział, ani się nie spodziewał, że będzie powołany, ażeby kazać takim rzeszom nieprzeliczonym; jakoż przejęty do szpiku kości wdzięcznością za taką łaskę Bożą i przepelniony bojaźnią Bożą, ukląkł na kazalnicy, a oparłszy głowę o poręcz, zaczął się modlić.

Kiedy się modlił, wszyscy oddech zaparli w piersiach — a niektórzy widzieli, jako biała gołębia zleciała z obłoków i unosiła się przez małą chwilę nad jego głowę, zaczem bogobojny szmer dał się słyszeć pomiędzy rzeszami i powiadano, że Duch Św. splywa na kaznodzieję.

A kiedy skończył modlitwę, wstał raźnie, jak gdyby jakimś cudownym ogniem wewnątrz rozgorzał, i wielkim głosem zawołał:

— *Surrexit Helias propheta, quasi ignis, et verbum ejus sicut facula ardebat!*

„Powstał Eliasz prorok jako ogień, a słowo jego jako pochodnia gorzało!” Słowa te uderzyły jak grom błyskawiczny w słuchaczy, głośny szmer zawrzało pomiędzy nimi i jak huczająca fala na morzu przebiegł po tłumach, odzywając się echem ponie-

dzy rzeszami na wzgórzach. Niektórzy blizoy rzucili się na kolana, inni schylili głowy, czując w swem wnętrzu, że oczy ich nie mogą znieść tej światłości, która w tej chwili biła od kaznodziei.

Natenczas Chryzostom, mając zapewne takie natchnienie, że ma wiernych słuchaczy przed sobą, których sumienia będzie mógł miesić swem słowem, jak ciasto swemi rękami, znowu wielkim głosem zawołał:

— Albowiem jam jest ten, o którym napisa-no: Oto ja posyłam sługę mego przed obliczem twojem, aby zgotował drogę twą przed tobą.

A potem rozpoczął kazanie swoje od słów:

Biada tobie Korozaïm, biada tobie Bethsaido! bo gdyby się były w Tyrze i w Sydonie cuda stały, które się stały w was, dawnoby byli w włosienicy i w popiele pokutę czyniły. Tak mówi Pismo; ale te cuda w was się nie stały, boście ich niegodni. Okryliście wasze piersi pancerzem, przypasaliście miecze do boku, opuściliście wasze zagrody i domy, ażebyście zawojowali ziemie niewiernych, ażebyście zburzyli ich plugawe bożnice i na ich gruzach zatknęli krzyż Chrystusowy. A ledwieście się pierwszym rozłożyli obozem, jużście zapomnieli o Bogu, który kazał aniołom swoim was na tę wojnę prowadzić. Jużście zatonęli w obżarstwie i opilstwie, w błazeńskich gędźbach a tańcach, w cudzołóstwie, porubstwie a wszelkiego rodzaju sprośnościach! Odtąd żaden cud Boży się w was nie stanie, ale spadnie na was grom Boży! Albowiem wiedzcie, że aniołowie Boży już odwrócili się od was i nie będą wam tej wojnie hetma-nić — a natomiast powiadam wam, jako mi jest objawiono, pędzi ku wam z dna piekieł rogaty anioł z czarnemi skrzydłami, którego zowią *Exterminans*, a który wie dzie na was nieprzejrzane zastępy po-gan, ażeby wasze ziemie zawojowali. I zawojują

was. I dwory wasze wypalą. I sługi wasze wybiją. I niemowlęta wasze w krwi ich potopiają. I łany wasze końskimi kopytami wydepczą. I wasze sady powyrywają z korzeniem i waszą ojczyznę w głuchą puszcze zamieniają. I z waszych głów wielką mogiłę usypią, a na jej szczycie swój bisurmański księżyc zaszczepią. I będzie puszcza, zasypana kamieniami i piaskiem, gdzie były kraje kwitnące. A na tę puszcze gorące wiatry wiać będą z dna piekieł, ażeby na niej żaden owoc nie dojrzał i trawka uschła w korzeniu. A jeśli będą, co skrywszy się w jamy podziemne, tę karę Bożą przeżyją i jako gady wypełzną na suchą, u tych ssącym przyschnie język do podniebienia. Dzieci o chleb zebrać będą, a nie będzie, ktoby go im podał. Którzy jadali potrawy rozkoszne, umrą śmiercią głodową. A którzy sypiali w szkarłatach, ducha swego wyzioną na gnoju...

Na te słowa wielki lęk poszedł po rzeszach: z tych, co stali bliżej ambony, jednym szeroko otworzyły się oczy, a zdjęte strachem biegały jak gałki ruchome w orbitach, drugimi trząśł zimny dreszcz jak w febrze i nie mogli ustać na miejscu, bo im się zdało, że się ziemia zapada pod nimi, inni darli szaty na sobie, a rzucając się na ziemię, bili się w piersi, wołając: — Boże wielki i miłosierny, zmiłuj się nad nami!

Od tych, co słowa słyszeli, ten lęk straszliwy udzielał się tym, co słów nie słyszeli, ale ducha ich zrozumieli—a od tych, jak Duch Św., co wieje na niewinne i nieświadome, jak wiatr, co kłosa skłania ku ziemi i wierzchołkami lasów potrząsa, szedł aż ku wzgórzom, gdzie stały gromady ludu i tam objawiał się szmerem i jękiem, a czasem przeciągłym okrzykiem, jak gdyby grzotem podziemnym.

Tymczasem o. Chryzostom, odetchnąwszy czas

mały, ażeby jego słuchacze mogli wejść w siebie i poczuć się w grzechach, znów podniósł głowę i znowu zawołał:

— Powstał Eliasz prorok, jako ogień, a słowo jego jako pochodnia gorzało!

I mówił dalej — a wtedy już jego słowa spadały na głowy słuchaczy jak potok spadający ze skały, i szumiały jak burza, i kwiliły jak dziecko, i otwierały jawnie samo dno piekieł pełne szatańców, i pokazywały promienistą twarz samego Boga w obłokach, Boga łaski i miłosierdzia, mogącego jeszcze grzesznikom przebaczyć.

Wszyscy to jawnie widzieli — i czuli gorąco otchłanie piekieł, jako na nich buchało, i światłość niebieską, unoszącą się nad ich głowami.

A wtedy Chryzostom już wiedział, że ich wszystkich ma w ręku i może z nimi zrobić, co zechce: może za jednym skinieniem ręki rzucić sobie w objęcia tych, co od lat niepamiętnych się gryźli z sobą, może kazać zagniewanemu mężowi, ażeby padł do nóg swej żonie, którą od siebie wypędził, może nakładać pokuty i posty, a będzie bez szemrania usłuchan, może ślepego uczynić widzącym, a głuchemu słuch wrócić, może wszelkie chore uzdrawiać i przywoływać duchy umarłych.

Zaczem zabierał głos jeszcze dwa albo trzy razy — a wciąż z wrastającą potęgą słowa i z coraz głębszem skruszeniem słuchaczy, tak że po jego ostatniej przemowie już wszyscy leżeli na ziemi i tarzali się w prochu, i nikt nie śmiał oczu podnieść ku kazalnicy.

A kiedy po długiej chwili wstawać zaczęli, jego już nie było na ambonie — i nikt nie widział, kiedy się podział.

Więc namawiali się z sobą i powiadali: Był-li to kaznodzieja, jak inni? czy legat stolicy świętej? czy apostoł Chrystusa Pana? czy anioł Boży, co

zstąpił na ziemię, ażeby poskromić obozową swawolę i nadać pokutę? Ale nikt na to nie umiał dać odpowiedzi.

Tylko tego dnia już w całym obozie ani biesiad rozgłośnych, ani też płasów nie było—a wszyscy stawili wieczór na przystojnych rozmowach, zalecając jeden drugiemu, że trzeba się bać Pana Boga, wypowiadać się z grzechów, a wszelkie rozrywki ukrócić, bo może jeszcze jest czas, ale już za maluczko może przyjść płacz i zębów zgrzytanie, jako jest napisano.

Nazajutrz cudowny ten kaznodzieja także nikomu się nie pokazał. Zaczem dziwne wieści chodziły o nim po obozie. Mówiono, że pozaprzeszłej nocy nocował u Fredry, ale wczoraj zniknął bez śladu. Ci zaś, co go widzieli wjeżdżającego do obozu, powiadali, że napróżno go szukać, bo to był anioł Boży, siedział na białym koniu, co nie dotykał się ziemi i trzymał w prawicy miecz płomienisty, zaczem nie z tego był świata. Tym wreszcie, którym się zdało, jakoby go wczoraj wieczorem widzieli u Kmity w Zboiskach, wszyscy przeczyli, mówiąc: Są tutaj pobożniejsi panowie, niżeli Kmity, raczej więc tam byłby się zjawił. Mimo to jednak każdy dopuszczał, że mógłby się zjawić, choćby nawet w ulicy, jako i Chrystus Pan i apostołowie nieraz kazali po ulicach i rynkach; zaczem wszyscy bardzo się bali, a który miał jaki grzech na sumieniu, nie rad sam na ulicę wychodził, bo mógłby mu ten kaznodzieja stanąć nagle na trakcie, a wiedząc dobrze, jaki grzech na nim ciąży, rzucić go swoją wszechmocą w proch, z któregooby może nie powstał. Ztąd też całe żołnierstwo objął wielki niepokój: każdyby był chciał się wypowiadać — a tu księży nie było.

Dopiero kiedy się to pobożne pragnienie objawiło w całym obozie i kiedy żołnierze zaczęli się

niecierpliwie, a nawet i we Lwowie do biskupów szturmować o spowiedników, trzeciego dnia o samym świcie, właśnie jak stado ptactwa, co nagle z chmur spada na błota, kilkudziesięciu Franciszkanów i Bernardynów, co sobie są braćmi w zakonie, spadło na ten obóz błotnisty — i zaczęli żołnierzy spowiadać. Natenczas przy ołtarzu odprawiały się msze św. jedna za drugą, a około ołtarza nastawiano konfesyonałów, wystruganych naprędce, w których spowiednicy zasiedli. Widziano wówczas, co ledwie komu dano było obaczyć, rotmistrzów i poruczników i inną zacną szlachtę, piastującą wysokie urzędy, jako własnymi rękami nosili belki i deski i brali topory do ręki, ażeby czem prędzej konfesyonały budować, inni zaś znosili makaty ze swoich namiotów, aby je spowiednikom ścielić pod nogi. A kiedy już księża zasiedli w konfesyonałach, taki ścisk się zrobił koło nich, że żołnierze się bili pomiędzy sobą, któryby miał pierwszy do spowiedzi przystąpić. Jakoż było i trochę kalectwa, zwłaszcza, że i prosty lud i rozmaici żebracy także się do księży cisnęli, za co temu i owemu dostało się po łbie i było jęku i pisku niemało.

Tak więc kto się pierwszy docisnął, ten pierwszy się wypowiedział. A który absolucję otrzymał, ten szedł do ołtarza i przystępował do Stołu Pańskiego. Ale było wielu takich, którym na teraz absolucyi nie dano; ci kładli się przed ołtarzem krzyżem na ziemi i jęcząc, mówili pacierze, inni zaś na gościniec wracali, tam rzucali się na kolana i ztamtąd czołgali się na kłęczkach ku ołtarzowi, bijąc się w piersi, przyznając się jawnie do grzechów i wołając głośno o zlitowanie się Boże nad nimi. A było to wszystko ku wielkiemu zbudowaniu patrzących, bo nawet i ci, co zdaleka patrzyli, kiedy spostrzegli grzeszników jęczących w niebogłosy o miłosierdzie Boże, żegnali się krzy-

żem świętym i głośno odmawiali pacierze, aby się Pan Bóg nad nimi zlitował.

Takie spowiedzie i nabożeństwa powtarzały się codziennie bez odpoczynku — i już się rzeczy zaczęły trochę lepiej układać w obozie. Ucichły owe srogie hałasy i sarabandy, biesiadowano już tylko przy drzwiach zamkniętych, zawstydzona swawola ukryła się w kąt przed ludzkiemi oczyma, tylko jeszcze białych głów nię pozbyto się z obozu.

Lecz wtedy kasztelanowa przemyska, jak była pierwsza, co się zgorszyła tą obozową rozpustą, tak też i pierwszy dała przykład z siebie. Jednego dnia, zabrawszy z sobą cały swój fraucymer, pożegnała się z mężem i synem i wyjechała z obozu. A wyjechała jawnie, aby ją wszyscy widzieli, jadąc sześciokonną landarą, otoczoną swemi dworzany i prowadząc za sobą swoje wozy ze służbą, i jadąc noga za nogą wzdłuż całego obozu aż do bram miejskich. Miała ona niejedną zgryzotę ze swym mężem i ciężki krzyż do zniesienia, ale za wszystkie swoje cierpienia i poświęcenia otrzymała dzisiaj sowitą nagrodę, albowiem uwoziła z sobą to przekonanie, że miała myśl zacną i od Boga natchnioną, przywołując o. Chryzostoma do obozu, który też swoim zjawieniem się i jednym śmiałym kazaniem zatrząsł skażonem sumieniem całego obozu i stu tysiącom grzeszników otworzył drogę do skruchy i do poprawy.

Kasztelanowa nie była wprawdzie jedyną kobietą w Polsce, która ku wyjściu z obłędów, w jakie społeczeństwo się uwikłało, znalazła drogę zbawienną; albowiem u nas, pod owe czasy i później, wśród mężów, zawsze skłonnych do zgnuśnienia w używaniu dóbr doczesnych i zapomnienia o obowiązkach wyższego rzędu, niejednokrotnie kobiety odszukiwały zagrzebane w przeszłości ideały narodu i uderzały w ton czynu, który się potem przelewał

z pokoleń na pokolenia. Ale tej zacnej matronie nie chodziło o współzawodnictwo z innemi, ani nawet o rozgłos; owszem, jeżeli była zadowolona ze swej zasługi, to jeszcze więcej właśnie to ją uszczęśliwiało, że ta jej zasługa jest tylko samemu Bogu wiadoma i że nikt ze śmiertelnych nie będzie mógł jej zazdrościć.

Przykład dany przez kasztelanową niemal takie same sprawił wrażenie, jak kazanie Chryzostoma; albowiem od tego dnia wszyscy zaczęli powoli swoje żony wyprawiać z obozu i codziennie było widać ładowne wozy z kobietami, przeciągające przez Lwów i wyjeżdżające na wieś, ku wielkiemu żalowi kupców lwowskich i rzemieślników. Powypędzano też owe praczki i szwaczki z namiotów, co ich się już namnożyło tak wiele, że prawie więcej ich było, niżeli koszul w obozie. Zaczem pozamykano także niektóre garkuchnie i szynki, w których żołnierze zgrywali się w kości, a gdzie na czas i srogie bójkibywały; zaś za tymże samym zamachem dostało się także i onym kuglarzom a błaznom, co rozmaite niebardzo przystojne igry wyprawiali żołnierstwu, a kunszty swoje pieprzyli opowiadaniem takich sprośności, że każdy grzeczny młodzieniec musiał się zarumienić, a nawet i starsi musieli sobie uszy zatykać. Ten środek obozu, gdzie stały chorągwie powiatów, a hufce możniejszych panów, został oczyszczony z wszelkiego plugawstwa i już wyglądał jakby na wielkie święto umieciona komnata; tylko jeszcze po krańcach, po za Zniesieniem, w Srokach i w Laszkach, gdzie wojska zaciężne miały swe leże, prawie że jeszcze gorsza grasowała rozpusta, bo też to śmiecie, co je pobożny wicher zdmuchnął ze środka obozu, prawie wszystko tam poleciało.

A wtedy znowu się zjawił o. Chryzostom w obozie. I znowu miał wielkie a potoczyste ka-

zanie, w którym jeszcze gromił nieprawości i wszelkie inne występki przeciwko dziesięciorgu Bożych przykazań, ale już obiecywał, że dla sprawiedliwych, co uczynili pokutę, chociaż ich jest bardzo małućko, może Bóg będzie łaskaw i dla nich nie da zgubić Niniwy. A po kazaniu chciał brać Przenajświętszy Sakrament i iść z procesją do Srok i do Kaszek i wypędzać ztamtąd białogłowy, kostery, kuglarze i błazny. Ale Fredro na to mu nie pozwolił, mówiąc:

— Nie może to być, abyś tam szedł do tych ludzi, bo to tam wielka dzicz a sami poganie. Nie z Sakramentem trzeba iść do nich, ano z batogiem—a to nie godzi się kapłanowi, który ma wszędzie jawić się tylko ze słowem Bożem. Wszelako oni nie boją się ani Boga, ani batoga, a respektują tylko kata z butlami, zwłaszcza, jeżeli za nimi stoi stu pancerników. Pójdę ja tam dziś albo jutro i każę znowu kilku z nich obwiesić, a to ich na jaki czas uspokoi. Ale tobie iść nie pozwolę, bo tak rozumiem, żebyś zdrów ztamtąd nie wyszedł i stałoby się wielkie zgorzenie.

O. Chryzostom, wierząc w potęgę swojego słowa, rwał się do tych pogan koniecznie i mówił, że kiedyby się na Przenajświętszy Sakrament porwali, to stałby się cud i wszyscy zostaliby porażeni. Ale Fredro, jako to żołnierze, choć w Boga wierzą, przecie idą za swoim rozumem, rzekł mu raz jeszcze:

— Powiadam tobie, że nie pójdziesz do tych ludzi. Jesteś kapłanem, więc wiesz, że nie trzeba Pana Boga wyzywać. Cudowi mogłoby stanąć co na przeszkodzie, a kat porazi ich bez przeszkody, bo też i ja tam będę z sukursem, a ja nie chybię.

Więc o. Chryzostom musiał mu uleźć. I poszedł do Lwowa i kazał tam najprzód w katedrze. A kiedy ludzie zaczęli się tak cisnąć na jego kaza-

nia, że kościół nie mógł ich objąć, za pozwoleniem arcybiskupa kazał pod gołem niebem na placu Św. Ducha. Tam znowu takie nieprzeliczone gromadziły się rzesze, jak w obozie, a chociaż tam było miejsca dostatkim, przecież się ludzie tłumili pomiędzy sobą, że niektórych na śmierć poduszono, inni zasię powpadali do Pełtwi i potonęli. Toż jego kazania właśnie jak ogień chwytaly wiernych, ba i niewiernych za serce, synowie mieszczańscy przywdziewali suknie zakonne, wielu Tatarów zostało przyjętych na łono Kościoła katolickiego, nawet i kilkunastu Żydów ochrzczono.

A wtedy król przyjechał do Lwowa.

XII.

W o j n a.

Król, chcąc dać z siebie dobry przykład, jak tylko rozesłał wici na pospolite ruszenie, natychmiast sam ruszył z całym swym dworem wojskowym i zatrzymał się w Przemyślu, postanowiwszy sobie, jak powiadano, bawić tam tak długo, dopóki nie zbiorą się wszystkie wojska pod Lwowem. Sam stanął na zamku u Koniecpolskich, dygnitarze dworscy polokowali się w mieście, a chorągwie nadworne porozkładały się po przedmieściach, poobsadzawszy zaciężną piechotę wioski po obydwóch stronach Sanu.

W pierwszych dniach pobytu króla w Przemyślu odprawiały się na zamku sceny cierpkie i przykre, a czasem nawet gwałtowne. Albowiem, choć całą szlachta ruszyła na tę wojnę bez żadnego oporu i stawiała się pod chorągwiami prawie od kołka

do kolka, byli niektórzy panowie, którzy tej wojnie byli przeciwni. Nie byli oni liczni, ale bardzo potężni, bo na ich czele stał brat królewski, kardynał Fryderyk, człowiek bardzo rozumny, rozważający sprawy publiczne daleko spokojniej i głębiej i widzący daleko dalej od niego — a tuż obok niego stał Krzesław z Kurozwęk, biskup kujawski i kanclerz w. koronny, tak rozumem, jak i powagą, jeden z najpotężniejszych ówczesnych książąt Kościoła, miłośnik ojczyzny bardzo gorący, ale zarazem równie roztropny mąż stanu. Chodziło o rzeczy nadzwyczaj ważne, bo o honor; szczęście i przyszłość królestwa polskiego — a więc i spory były bardzo gorące.

Król jeszcze przed trzema laty zawarł był w Lewoczy na Spiżu ze swoim bratem Władysławem, królem węgierskim i czeskim, sojusz odporny i zaczepny przeciwko Bajazetowi, cesarzowi tureckiemu, a myślą przewodnią tego sojuszu było skojarzenie się z cesarzem niemieckim i z Wenetami, wypowiedzenie wojny na zabój w imieniu chrześcijańskiego krzyża, bardzo groźnej już wówczas potędze tureckiej i wyrugowanie jej z Europy. Prawie natychmiast po zjeździe w Lewoczy rozmaite okoliczności zniewoliły króla do zawarcia z Bajazetem trzechletniego pokoju; te trzy lata teraz właśnie minęły, zaczęł król, w innych sprawach częstokroć bardzo roztropny, w tej jednak gorący i niecierpliwy, zerwał się zaraz do wojny.

Ale okoliczności jeszcze i teraz nie były potemu. Ani z cesarzem Maksymilianem, ani też z Wenetami nie było żadnych sojuszów; w. książę litewski przyrzekł wprawdzie posiłki, ale musiał zachować pewne względy dla cara moskiewskiego, swojego teścia; Krzyżacy przysłali zaledwie kilkaset ludzi, lecz co najgorsza, nawet na Węgrów nie można było liczyć z pewnością. Król Władysław,

bardzo łatwo godzący się na wszystko, przyrzekł był wprawdzie w Lewoczy razem z królem Olbrachtem uderzyć na Turka, ale już stany węgierskie, niepróżne pewnych zazdrości względem Polski, nie były tak bardzo skore do wojny, zaś oprócz tego powstało tam podejrzenie, jakoby król Olbracht miał skryty zamiar zabrania Wołoszczyzny dla królewicza Zygmunta, a Węgrzy byli stanowczo temu przeciwni, ażeby te kraje przeszły pod panowanie Polaków.

Królewicz Fryderyk swoim bystrym rozumem osądził trafnie te niepomyślne warunki, w których ta wojna miała się toczyć i już w Krakowie starał się króla nakłonić, ażeby jej na teraz zaniechał; ale król tych rad słuchał z niecierpliwością, a nawet uniósł się przeciwko bratu, mówiąc: „że biskupi a kardynałowie mają brewiarza pilnować, a nie mieszczą się w sprawy publiczne”. Zaczem kardynał, przejęty trafnością swoich przekonań, nastawił na króla niektórych panów, pomiędzy którymi trzymali prym Krzesław z Kurozwęk i Mikołaj Podlódowski, kasztelan radomski, a ci mu wsiedli na kark w Przemysłu, ażeby tę wojnę odroczył. Król jednak, widząc, że ich obawy opierają się głównie na tem podejrzeniu, jakoby on szedł tylko rzekomo na Turka, a w rzeczy chciał Wołoszczyznę wojować, nadzwyczaj zřęcznie sobie postąpił, albowiem właśnie tych dwóch głównych oponentów wyprawił w poselstwie do wojewody Stefana, ofiarując mu sojusz i proponując wspólne działanie przeciw Bajazetowi. Tym zřęcznym zwrotem pozbył się niewygodnych doradców, a zarazem i w innych wpoił to przekonanie, że nie ma wojennych zamiarów przeciwko Stefanowi a przeto, że i na pomoc Węgiei można liczyć z pewnością.

Krzesław z Kurozwęk i Podlódowski wyjechali z małym dworem, lecz z wielkim pośpiechem; starostowie: Melsztyński samborski. Wilczek tustański i Paniowski stryjski, otrzymali rozkazy przez gońców

pośpiesznych, ażeby im po stacyach nagotowali podwody i konie, ale zarazem, ażeby im sami towarzyszyli, bo dobra jest ufność, ale tym razem król chciał mieć swoich własnych starostów, których całkiem był pewnym, naocznyimi świadkami, jak ci oponujący posłowie wywiążą się ze swego poselstwa. Obliczywszy, że wojewoda wołoski powinienby już w pierwszych dniach czerwca jego posłów odprawić, wysłał za nimi rozstawionemi końmi gońca do Suczawy, ażeby prosto do Lwowa wracali, a gońcowi dał rozkaz, ażeby również rozstawionemi końmi przywiózł od nich pisemną wiadomość. Sam zaś także natenczas ruszył z Przemyśla i stanął niebawem na Niskim Zamku we Lwowie, rozłożywszy swoje chorągwie w mieście i po przedmieściach.

Ledwie król stanął na Niskim Zamku, kiedy już Wilczek przyjechał z Suczawy. Jeżdżono wówczas, kiedy tego była potrzeba, tak szybko, że dzisiaj, zwłaszcza na dalsze odległości, ledwieby kto to potrafił, bo chociaż koni nie braknie, to ludzie dzisiejsi nie są tak jędrni i tak wytrwali. Pod owe czasy jeździec, kiedy sobie konie rozstawił, ujeżdżał po pięćdziesiąt mil na jedną dobę. Wilczek, zaraz po odprawieniu posłów, ażeby królewskiego gońca uprzedzić, wsiadł na koń i puścił się wielkim pędem do Lwowa. Koni rozstawnych nie miał, ale jako królewski starosta brał najlepszego konia w którymkolwiek szlacheckim dworze i zostawiał go w dworze następnym.

Tak pędził jak opętany na dzień i noc, mijając jak widmo góry i skały, przesadzając strumienie i rzeki, prując powietrze jak raca przez stopy — a przed jego koniem unosiła się w mgłach postać Jagienki. Nie dla siebie bowiem przedsięwziął on sztukę tak karkołomną, ażeby pierwszy przywiózł królowi wiadomość o rezultacie poselstwa, lecz dla niej; nie miał on żadnej nadziei otrzymania kiedyś

Jagienki, ani w cud Boski, którego nie czuł się godnym, ani w kunszty dyabelskie nie wierzył, ale... jeżeliby się miała stać rzecz niepodobna, to tylko król mógłby ją zrobić. Zaskarbienie sobie łaski królewskiej otwierało mu jedyny widok nadziei. To też tą myślą niesiony upalił te czterdzieści mil prawie bez żadnego zmęczenia i stanął przed królem czerstwy, lekki i wesół, jak gdyby wyszedł z orzeźwiającej kąpieli.

Król przyjął go bardzo uprzejmie, położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— Jużes mi teraz prawie przyjacielem, nie sługą. Gdyby mi wszyscy tak wiernie służyli, tobym nietylko Turków wraz z wojewodą zwojował, alebym cały świat podbił. Powiadajże mi prędko, jak tam ten wojewoda powyrzucał za drzwi tych posłów. Może ich nawet kazał na pale powbijać?

Wilczka zadziwiło cokolwiek to królewskie pytanie, ale zdał mu raport jak umiał najlepiej. Wojewoda przyjął posłów jaknajuprzejmiej, słuchając ich, pochylił po kilkakroć głowę przed majestatem królewskim, błogosławił króla za myśl szczęśliwą podniesienia broni na Turka, jego najzawziętszego tyrana i wroga całego chrześcijaństwa, składał ręce i modlił się, ażeby jaknajprędzej ślad Turka w Europie nie został, obiecał święcie z całym swym wojskiem połączyć się z armią królewską protestował się tylko, że sam jest za słaby, ażeby mógł wojnę poczynać, bo też siedzi z całym swym krajem jakoby w paszczy u Bajazeta i prosił króla jaknajpokorniej, ażeby szedł na Białogród, a jak tylko stanie pod Białogrodem, on ruszy zaraz z całym swym ludem.

Kiedy Wilczek powiadał, król coraz więcej pośepniał na twarzy, a kiedy skończył, on roześmiał się gorzko i spytał:

— A jakże on może łączyć się z nami przeciwko Turkom, kiedy ma syna w zakładzie u turec-

kiego cesarza? Przecież Bajazet, jak tylko się dowie, że on jest z nami, najprzód każe gardło poderznąć jego synowi.

Wilczek nie umiał mu na to dać odpowiedzi, rzekł tylko:

— Opowiedziałem waszej królewskiej mości, com słyszał.

Natenczas król zapewne się spostrzegł, że powiedział za wiele, bo zabrał głos znowu i zaczął w ten sens:

— Ale to nie moja rzecz pilnować gardła wołoskiego wojewodzica...

A kiedy król powiedział te słowa, królewicz Zygmunt wszedł przez otwarte drzwi do tej komnaty.

Zygmunt, później jeden z najznamienitszych i najszcześniejszych królów, jakich miała ta Polska, był wówczas trzydziestoletnim młodzieńcem. Jeszcze wspanialszej urody, niżeli Jan Olbracht, z długimi włosami w kędziorach, z krótko przystrzyżoną brodą i bardzo wyrazistemi, choć łagodnemi oczyma, był siły tak wielkiej, że targał postronki i łamał podkowy, miewał też gniew prędki i prawie ognisty, ale umiał nad sobą panować, bo miał rozum głęboki i bystry, a przeto i sąd zawsze spokojny, zwłaszcza w sprawach publicznych. Jeżeli król w skrytości swego umysłu miał zamiar przedewszystkiem Wołoszczyznę zwojować, to zamiar ten powziął właśnie dla niego, ażeby jego, nie mającego dotąd żadnej własnej siedziby, na tem zdobytym księstwie osadzić. Los jego był zatem jeżeli nie głównym, to najbliższym celem tej wojny — i dlatego, usłyszawszy zapewne z przybocznej komnaty, że król niebacznie się zdradza ze swemi skrytymi myślami, wszedł do królewskiego gabinetu aby być świadkiem dalszej rozmowy.

Król, spostrzegłszy swojego brata, sam sobie przerwał i rzekł:

— Bardzo ciekawe wiadomości przywozi nam Wilczek z Suczawy. Wojewoda z całym swym ludem chce ruszać z nami na Turka. Bardzo mu za to jesteśmy wdzięczni. Tylko nad tą kompensatą, której od nas żąda za to, że nam garść chłopów wołoskich przyśle na sukurs, pozwolimy sobie trochę się zastanowić...

— Czegoż on żąda? — zapytał Zygmunt.

— Przepisuje nam drogę — odpowiedział mu król z nieukrytą ironią — każe nam iść prosto do Białogrodu, zapewne na Kamieniec, bo nie wiem...

Więc królewicz zaczął sam wypytywać Wilczka, każąc mu opowiadać słowo za słowem całą rozmowę posłów z wojewodą Stefanem, bardzo być może, że tylko z ciekawości, ale, daleko pewniej w tym celu, ażeby król tymczasem się uspokoił. Wilczek już teraz był zbity z toru i odpowiadał niebardzo przytomnie, jakoż król dalej już nie nastawał na niego i rzekł:

— Dowiemy się o tem wszystkim dokładniej, jak posłowie powrócą.

Wilczka te słowa królewskie dotknęły bardzo boleśnie, że aż zbladł i spuścił oczy ku ziemi, co wszakże król spostrzegł i położywszy mu jeszcze raz rękę na ramieniu, dodał łaskawie:

— Dziękuję ci za fatygę, której podjąłeś się dla mnie. Odpocznijże sobie u nas mało niewiele i wracaj na Tustań, a tak się tam urządź, abyś się z nami połączył w Haliczu.

Wilczek wyszedł od króla jak struty. Widział on jawnie, że przywiózł królowi niepomyślną, ba, nawet wcale wstrętną wiadomość. Bodajby piorun trzasł w tę godzinę, kiedy mu przyszła myśl pędzenia na złamanie karku z Suczawy do Lwowa. Znał on króla na wylot: postępuje on zawsze swym własnym trybem, nie zważa nigdy na złe albo dobre

intencye, zawsze tylko skutek waży u niego, ledwie że nie wrogiem mu każdy, co mu złe wiadomości przynosi. Teraz już wszystko przepadło; chybaby zgłupiał zupełnie, gdyby jeszcze o tem pomyślał, że mu król w jego miłości pomoże. Wszystko mu idzie na wywrót; czego się ręką dotknie, to się w proch rozsypuje; coby drugiemu szczęście przyniosło, to jego w przepaść strąca i gasi ostatni przymyk nadziei. Taki człowiek lepiejby był zrobił, gdyby się był nie narodził — a kiedy jest na tym świecie, to mu nic nie zostaje, jak tylko zginąć za jaką pocziwą sprawę. Szczęściem, że wojna się zakurzyła; byleby jej tylko nie odwlekano: ta mu przyniesie zbawienie...

Tak z duszą znowu do samej głębi rozdartą, unikając ludzkiego wzroku, poszedł bocznemi korytarzami do swojej kwatery zamkowej, aby cokolwiek odpocząć.

A kiedy tam wszedł i usiadł w krzesło, razem z umysłem tak ciężko stłumionym, odezwało się w nim fizyczne zmęczenie. Przechylił głowę na poręcz i zaczął mrzeć owym snem gorączkowym, w którym zboleła dusza, szukając napróżno spoczynku w zbolełym ciele, wytwarza te fantastyczne marzenia, jakby nie z tego świata, których rozum nie może pojąć, ani pamięć nie może uchwycić. Zbudzonemu zostaje po nich tylko wrażenie, że we śnie wieszały się nad nim jakieś widziadła, ale nie może znaleźć ani jednego słowa, któremby mógł je określić.

Kiedy Wilczek z tego ołowianego snu na jakiś szelest się zbudził ujrzał starego Kijasa i Tigra-nesa przed sobą. Potrzeba mu było blisko trzy *Ave Maria*, ażeby otrzeźwiał i wiedział, gdzie jest. Tymczasem obydwaj Ormianie byli bardzo uprzejmi dla niego, a daleko grzeczniejsi niż zwykle, wypytywali go o zdrowie i powodzenie, na co Wilczek ledwie że im odpowiadał, aż wreszcie Kijas mu wyłożył,

że jego syn bardzo piękną wysztyftował chorągiew, która już stoi w obozie, i prosił go, aby ją raczył obejrzeć. Ale Wilczek niebardzo był jej ciekawy, bo rzekł:

— Na co mi tam widzieć waszą chorągiew. Wierzę wam na słowo, że piękna, ale to wam powiadam, że w tej wojnie ani jednego strzępka z niej nie zostanie.

Spokojny Kijas uśmiechnął się na to, bo widział, że tylko zły humor przemawia z Wilczka; znając zaś jego dobre serce i przyjaźń dla siebie, wrócił znów do swojej materyi i wyłożył mu, że w tej chorągwi jest dużo szlachty, nawet i znacznej, jak Pretficz, że Tigranes sam jej rotmistrzuje i chciałby rotmistrzowstwo zachować, więc jest to prawie koniecznem, aby go król, co najmniej, zrobił szlachcicem, jeśliby nie chciał w swej łasce uczynić dla niego co więcej.

Wilczkowi sprawa ta była zawsze obojętną, chociaż ją zawsze uważał za śmieszną, bo mu Tigranes wcale na żołnierza nie wyglądał: ale w tej chwili to gonienie za szlachectwem albo zgoła za rycerstwem wydało mu się tak poziomem, tak płaskim, tak nawet wstrętnem, że spojrzął na nich prawie z pogardą i rzekł:

— Niechby raczej każdy tem był, czem go Bóg stworzył. Gdybyście wiedzieli, jaka to jest cierniowa korona te obowiązki rycerskie, tobyście jej pewnie nie zapragnęli. Wolalbym ja być dziś kupcem, niżeli rycerzem.

— Ludzka to rzecz, mój kochany starosto — rzecze mu Kijas — że każdy tego pożąda, czego mu nie dostaje.

Zaczem przedłożył mu oględnie swą prośbę, ażeby się za jego synem wstawił u króla.

Ale Wilczek odpowiedział mu cierpko:

— Ja u króla dziś nawet tyle nie ważę, co

ten jego piesek, co go ma na pokojach. Macie już wojewodę po sobie, macie Gniewosza i Kamienieckiego, czegoż wam więcej potrzeba?

— Cóż tedy waszmość rozumiesz — spytał go Kijas—czy ta protekcyja nam wystarczy?

— Ale wystarczy, pewnie wystarczy — rzekł Wilczek — chcąc się ich jak najprędzej pozbyć od siebie.

Jednak w tej chwili się spostrzegł, że był nadto szorstkim dla tych swoich przyjaciół, którzy jego zgryzoty wcale nie byli winni, a zawsze tak dobrzy byli dla niego; zaczął ścisnąć Tigranesa za rękę i rzekł głosem wzruszonym:

— Król będzie wielu rycerzy pasował, więc i ty się tam wkęcisz. Gdyby były trudności, to dam ci radę: niechaj cię Gniewosz przyjmie do swego herbu, a wtedy ci pójdzie jak z płatka. Życzę ci z serca, aby ci się z twoją chorągwią powiodło. Ale to ci powiadam, i pamiętaj to sobie jako ostatnią naukę odemnie, że wojna to nie igraszka dla bogatych paniczów - a zwłaszcza w tej wojnie pewnie żartować nie będą. Król idzie wojewodę Stefana wojować, aby mu jego ziemie zabrać dla królewicza Zygmunta—a wojewoda pierwiej mu Turków i Tatarszczyznę na kark sprowadzi, niżeliby się miał dobrowolnie wyzuć ze swego księstwa. Pójdzie tam ząb za ząb, a oko za oko. Król familijną politykę prowadzi—a my mamy gardła nasze dać za to, ażeby książątko bez ziemi na hospodarskim stolecusiadło! I mamy gardła bez wstrętu, bo jesteśmy jak psy, którym nawet skomleć nie wolno. Oddałem królowi usługę, nogą za nią mnie kopnął, mówiąc, że lepiej się tych rzeczy dowie od posłów; teraz zginę za niego, choć wiem, że za mną nawet nie westchnie. Owo, jaki jest los prześwieznego rycerstwa. Bywajcie więc zdrowi. Dziękuję wam za waszą przyjaźń, w której mi zawsze byliście wierni. Zachowajcie

mnie w dobrej pamięci — a jak się dowiecie, żem sobie łeb roztrzaskał o mury Suczawy, zmówcie za moją pokutującą duszę modlitwę.

Ojciec i syn byli temi słowami głęboko wzruszeni, Kijas go ścisnął za rękę i zaczął mówić:

— Waszmość jesteś podróżą i bezsennością zmęczony, dlatego masz czarne widzenia, ale Bóg je odwróci.

Ale Wilczek przybrał postawę poważną i tak imponującą, że dalej mówić nie śmieli, zaczęli ich obydwóch pożegnać.

Kiedy już byli w korytarzu, Kijas obejrzał się po za siebie i rzekł do syna:

— Ten człowiek ma już śmierć w kościach i mówi głosem umarłych. Niechaj go Bóg ma w swojej opiece, ale ja jestem pewny, że z tej wojny nie wróci.

Ale Tigranes, duchem rycerskim już nawskroś przejęty, odpowiedział mu na to:

— Będę go miał ciągle na oku—a jak będzie w niebezpieczeństwie, przyjdę mu z pomocą.

Z tem poszli odwiedzać innych królewskich rycerzy.

Tymczasem Wilczek zamknął drzwi na zasuwkę, aby nikt do niego nie przyszedł, bo mu wstrętną była każda twarz ludzka — wyspał się — a o świcie, nie widziawszy nikogo na zamku, wsiadł na koń i pojechał na Tustań.

Kiedy się dowiedziano w obozie, że król jest na Niskim Zamku, cała starszyzna zbiegła się do niego, bo każdy pragnął mu się osobiście pokłonić. Ale król kazał wszystkich przeprosić, że dziś nie może przyjąć nikogo, a tylko Fredrę wezwał do siebie. Fredro mu zdał raport o stanie armii i wyliczył mu osmdziesiąt tysięcy uzbrojonego żołnierza, nie biorąc wcale ciurów i sług w rachubę. Opisując

mu szczegółowo wszystkie wypadki zaszłe w obozie, wspomniał także o swych swawolach i o Chryzostomie, opowiedziawszy zaś, jaki wpływ nieodparty wywierały jego kazania na żołnierzy, dodał radosnem sercem te słowa:

— Powiadam waszej królewskiej mości, że od czasu, jak św. Jan Kapistran kazał w Krakowie, nie mieliśmy w Polsce takiego kaznodziei. Gdybyśmy wówczas, kiedy Chryzostom powiedział swoje pierwsze kazanie w obozie, byli zaraz uderzyli na Turka, tobyśmy byli przelecieli jak burza przez całe cesarstwo tureckie i nie oparli się aż o grób Chrystusa Pana, aby Mu podziękować za zwycięstwo.

Więc król, wzięwszy to na uwagę, kazał zaraz szukać Chryzostoma i nie czekając, prowadzić na zamek. A kiedy Chryzostom przyszedł, król bardzo uprzejmie go prosił, ażeby został w obozie i szedł na wyprawę. Chryzostom tłómaczył się w swojej skromności, mówiąc, że sam nie wie, jakim się to stało sposobem, że swoim kazaniem taki wpływ wywarł na obóz, czuł bowiem tylko dreszcze po całym ciele, a słowa wylatywały z ust jego bez jego wiedzy, zaczem rozumie, że chyba Pan Bóg sam użył go za narzędzie i mówił jego ustami; ale chętnie poddał się woli królewskiej, i mianowany został kaznodzieją pospolitego ruszenia.

Nazajutrz rano król jechał ze wszystkimi nadwornymi dygnitarzami i rotmistrzami, ażeby obóz obejrzeć. Wszystkie chorągwie, regimenty i sotnie wystąpiły pod rozwiniętymi sztandarami, każda na swoim miejscu, a wtedy było co widzieć, bo obóz wyglądał właśnie, jak las drzew ruchomych, a poprzybieranych w błyszczące pancerze, tarcze, hełmy, kopie i różnobarwne proporce, a najstarsi żołnierze nie pamiętali, ażeby tak liczną armię polską widzieli.

U ołtarza w środku obozu odprawiono mszę

świętą, a celebrował sam arcybiskup lwowski, otoczony nieprzeliczonem mnóstwem biskupów i kanoników, że ich tak wielu razem także nie często zdarzało się widzieć. Kazania nie było, bo królowi niemało czasu było potrzeba, ażeby cały obóz objechał. Natomiast mieszczanie uświetnili to nabożeństwo, bo wytoczyli dwanaście armat na Wysoki zamek i bili z nich przez całą mszę prawie bez upamiętania, tak, że ziemia się trzęsła, a słychać ich było pewnie do Żółkwi. A mieli bardzo piękne armaty spiżowe, pomiędzy któremi jedna darowana im przez kardynała Fryderyka z jego herbami, artylerzyści byli także bardzo przystojnie ubrani, w białych kabatach, w czerwonych pludrach i w kapeluszach skórzanych; w mosiądz oprawnych a ozdobionych pióropuszcami. Owo szalone bicie z armat było nastrojone przez starego Kijasa, o czem też doniesiono królowi. Po mszy świętej król jechał do każdej chorągwi i rozmawiał łaskawie z wojewodą, kasztelanem, albo rotmistrzem, kto właśnie stał na jej czelcu. Taką samą rozmowę zaszczycił także Kergolaja, Tigranesa i Olizara, wszakże przy tym ostatnim najdłużej się zatrzymał, bo mu się bardzo podobali jego kozacy, że mieli konie takie zwinne, a szybkie, a i ludzie byli nad podziw zuchwali, co im też z oczu patrzyło.

Król kazał im zrobić kilka obrotów, a widząc, że są właśnie, jak wiatr, co go nikt zgonić nie może, nie mógł się nimi nacieszyć i rzekł do Olizara:

— Niechże ci będzie na zdrowie, mój panie Olizar! Toż ty latasz jak ptak z tem twojem kozactwem. Chciałbym, abyś miał takich choć z dziesięć tysięcy, a wtedy rozumiałbym, żebyś mi wszystkich Tatarów utrzymał na wodzy. Pomyślmy też o tem swojego czasu, ażebyś nam takich sotni przyniósł.

Potem król jechał aż do Srok i do Laszek, a wszędzie witany był i żegnany rozgłośniami okrzykami, bo też swoją wymową, znajomością wszelkiej broni i dobrocią serca wszystkich sobie pozyskał.

Mieszczanie, także za namową starego Kijasa, chcieli wyprawić wielki festyn dla króla, ale król im się na teraz grzecznie wyprosił, mówiąc, że przed wojną nie czas się weselić; natomiast wszakże u niego codzień po kilkadziesiąt osób siadało do stołu, których przyjmował i raczył z jagiellońską hojnością.

Niebawem potem powrócili posłowie z Suczawy. Krzesław z Kurozwek i Podlodowski zdali sprawę ze swego poselstwa dosłownie tak samo, jak Wilczek, zaczem król im powiedział:

— Widzicie więc, że w Stefanie mamy sprzymierzeńca, nie wroga.

Jakoż ani przy tej audyencji, ani też potem, w żadne dalsze dyskusye z nimi się nie wdawał, a milczał tak, że wszyscy byli przekonani, że Wołosza jest z nami, a my idziemy na Turka.

Natomiast król już nazajutrz kazał otrąbić pochód i dał pospolitemu ruszeniu osiem dni czasu do zwinięcia namiotów.

A wtedy król przystąpił do pasowania niektórych szlacheckich młodzieńców na rycerzy. Było ich wszystkich tylko dziewięciu, którzy wtedy dostąpili tego zaszczytu: dwóch Koniecpolskich, młody Herburt z Fulsztyna, dwóch kniaziów Olszańskich, Sienko Łopatka de Oslawice, brat Pachny, Lubek Pretficz, Frąc Ajchinger własnego herbu i przyjęty przez Kamienieckiego do herbu Tigranes Chiaao de Skniłow.

Piękna ta urczystość odprawiła się jeszcze według dawnych zwyczajów.

Dniem przedtem wszyscy dziewięciu służyli

królowi u stołu, podając mu potrawy, nalewając napoje i przynosząc po wieczery wodę do umycia rąk i ręczniki. Po wieczery król, w obecności wszystkich swych biesiadników, którzy kołem za nim stanęli, uderzył każdego z nich lekko ręką po twarzy, na znak, jako odtąd wyzwolony jest od służby paziowskiej i wszelkiej innej, stawiającej go niżej od któregokolwiek rycerza, a zarazem na świadectwo, jako zmyte są zeń wszelkie hańbiące kary, jakie dotychczas od swego pana otrzymał. Obrzęd ten zdjął wielki ciężar z serca Pretficza i widać to było po wdzięcznym uśmiechu na jego twarzy.

Nazajutrz przed świtem szli wszyscy do łaźni, zaczem każdy wracał do siebie i ubierał się w bielezną i suknie całkiem nowe, których nikt jeszcze nie nosił. O wschodzie słońca każdy szedł do spowiedzi, katolicy do kościoła zamkowego, Olszańscy i Łopatka do ruskiej cerkwi, ale Tigranes, który przy tej sposobności przeszedł na katolicki obrządek, także do kościoła zamkowego i wszyscy przystępowali do przyjęcia Ciała i Krwi Pańskiej. Potem każdy znów wracał do domu i ubierał się w pełną zbroję rycerską, w pancerz i hełm, tylko bez miecza. Natenczas szli na mszę świętą, która na ich intencję odprawiała się w kościele św. Katarzyny, znajdującym się wewnątrz Niskiego zamku i słuchali całego nabożeństwa, klęcząc przy drzwiach za plecami rycerstwa.

Po mszy rycerstwo rozstało się, a oni stanęli w środku kaplicy i słuchali kazania, które miał dla nich tym razem Krzesław z Kurozwek, biskup kujawski, chociaż duchowny, jednak sam bardzo wspaniałym duchem rycerskim przejęty.

Po kazaniu król zasiadł pod baldachimem w dziedzińcu zamkowym, po jego prawej stronie w półkolu dygnitarze koronni i nadworni, duchowni i świeccy, po lewej co najprzedniejsi rycerze, w głę-

bi naprzeciw króla owych dziewięciu młodzieńców ze swymi chrzestnymi ojcami. Z krużganków na tę uroczystość patrzyli goście świętecznie przybrani, pomiędzy którymi widać było starego Kijasa i Formozę. Każdy z młodzieńców miał obok siebie dwóch ojców chrzestnych, albo też swatów (jak ich u nas postaremu wołano), za których instancją zaszczyt ten otrzymywał: Tigranesowi służyli za swatów Kamieniecki i wojewoda ruski Tęczyński. Gniewosz tak się mu od przyjęcia go do swego herbu, jak i od tej służby, bardzo zręcznie wymówił (zapewne się obawiał), ale zato dał mu tak znamienitych i sławnych rycerzy, że lepszymi swatami nikt się nie mógł pochwalić.

Potem każdy z młodzieńców przystępował ze swymi swatami do tronu królewskiego i klękał na ostatnim stopniu przed królem. Król uderzył go gołym mieczem trzy razy po lewem ramieniu i mówił: „W imię Boga wszechmogącego, a z naszej łaski królewskiej pasujemy cię na rycerza i wkładamy na ciebie obowiązek, ażebyś zawsze i wszędzie stawał walecznie i mężnie w obronie świętej wiary chrześcijańskiej, majestatu naszej korony królewskiej, czci twojej własnej i braci twoich i wszelkiej niewinności a cnoty pomiędzy ludźmi”.

Natenczas młody rycerz podnosił prawą rękę do góry, wymawiał uroczyście te słowa: „Tak mi Panie Boże dopomóż!” i kłaniał się niziuteńko królowi, zaczem swatowie jego zawieszali mu miecz jego przez prawe ramię i prowadzili go między rycerstwo, gdzie był uprzejmie witany przez wszystkich ściśnięciem ręki braterskiem.

Konieczpolscy, Herbut i inni odprawili tę uroczystość z uśmiechem na ustach, jak ludzie mający przekonanie, że tylko to otrzymali, co im się należy; Ajchinger był nastrojony bardzo poważnie, bo chociaż był szlachcicem niemieckim i lekce sobie

ważyl rycerstwo polskie, przecież czuł, że mu tego rycerstwa nie dostawało i że przez nie został wywyższony w znaczeniu, ale Tigranes był do głębi wzruszony i miał łzy w oczach, kiedy go co przedniejsi rycerze ściskali za rękę. Chociaż już od lat kilku za granicą i w kraju przez wielu młodszych rycerzy był traktowany jako ich równy, a jego bogactwa, wspaniałomyślność i hojność odznaczały go nieraz nawet bardzo korzystnie pomiędzy nimi, przecież dotychczas miał to uczucie, jak gdyby był tylko jakimś zwierzątkiem cierpianem przez szlachtę, a dopiero teraz narodził się całym człowiekiem. Toż ochłonawszy cokolwiek z pierwszego wrażenia, spojrzął z nieopisanym wyrazem szczęścia, a nawet cokolwiek dumy na galerję zamkową, z kąd jego ojciec i żona spoglądali na niego. Stary Kijas, dojrawszy go w tłumie, złożył ręce ku niemu i podniósł oczy do góry, i zdało się, jak gdyby mówił: Stało się, Panie! teraz puść duszę moją w spokoju. Formoza go także dojrzała i pozdrowiła ręką, ale zdawała się rozłargnioną, co tem się tłómaczy, że za nią stał Gniewosz i pokazując jej niektóre znamienitsze osoby dworu królewskiego, opowiadał jej, kto są i co znaczą.

Po tym obrzędzie król mianował kilkunastu rotmistrzów i poruczników, wszelako przed wszystkimi innymi Olizar uczyniony został pułkownikiem, a przy nominacji zaszczycony bardzo grzecznymi komplementami od króla. Był to pierwszy pułkownik kozacki, mianowany z ramienia korony polskiej.

Tęgo wieczora stary Kijas wyprawił haniebnie sutą biesiadę, ażeby uczcić rycerski chrzest swego syna. Niewielu gości mógł sprosić, bo jako w przeddzień ruszenia obozu, niemal u wszystkich możniejszych panów były biesiady. Przybyli tylko wszyscy młodzi rycerze ze swymi swatami, a z ni-

mi Kergolaj i Olizar. Było i kobiet cokolwiek i panien, a między niemi Pachna, różowa, uśmiechnięta, wesoła i pusta, jak zawsze. Pomiedzy gośćmi znajdowali się Tęczyński i Fredro, zaczem było dwóch wojewodów ruskich żywych za jednym stołem, czego jeszcze ludzkie oko nigdy nie widziało i czem się bardzo bawiono. Rybálci grali i śpiewali podczas biesiady, zaś wyborowi błaznowie powiadali wesołe rymy polskie, niemieckie i włoskie. Pito wielką gębą ową przedziwną małmazyę, jakiej i w piwnicy królewskiej nie było. Fredro przepyszne żarty wyprawiał z błaznami, przekręcając ich rymy we wszystkich językach i dodając swoje do tego, a każąc im kozły wywracać przed sobą, jeden za drugim rozgłośnemi wybuchami śmiechu witane, lecz przytem miał także oko na piękne kobiety, bo chociaż już to kawalerskie rzemiosło zarzucił, przecież lubił z niemi żartować — a bodaj czy się zawsze na żartach kończyło, bo jak dyabeł w jakim piecu wziął palić, to i na to nie uważa, że się piec już podstarzał. Dostało się też i Pachnie niemało dosadnych komplementów od niego, bo swawolnicy się zawsze zaraz na sobie poznają, chociaż była jak gdyby w oblężeniu od Kergolaja i Ajchingera, do których i Olizar się przyczepił, podobno już nie tyle z miłości dla niej, ile ze złości na Frąca, któremu tej nimfy serdecznie zawidził, a teraz go już wcale zniercierpiał, kiedy nie wiedzieć za czyją protekcją pasowan jest na rycerza. Jakoż mu ciągle docinał, mówiąc:

— Już cię ktoś wywindował na rycerza, mógłbys się teraz ściąć z tym Francuzem; ale podobno masz przed nim respekt i ja ci to chwalebę.

— Z Francuzem, albo i z tobą — odpowiadał mu Frąc, który już teraz miał fantazyę potemu.

— Więc jutro — zawołał Olizar, przyskakując do niego.

— Jak wola, choćby i dziś. Jeno między rycerstwem jest taki obyczaj, że się przed wojną pojedyńkiem nie biją, potrzeba pierwej trochę Turków nasiekać...

— Będę ja tobie dobrze patrzył na ręce, ile to tam tych Turków nasieciesz. Jakoż to wiedz, że jeśli stchórzysz, to będziesz miał świadka. A potem, wiesz... ja sam własnymi rękami ci czepiec wsadzę na głowę. A będzie to widowisko, że cały obóz będzie się trzymał za boki.

I Rusin śmiał się, a Niemiec się gniewał.

Obok nich zdala, w odległości, jaką nakazywała na doświadczeniu oparta roztropność, stał Kundrat, podtrzymywał ręką swój tłuściutki podbródek i mówił zcicha do siebie:

— Przecież nie wszyscy trzej wrócą z tej wojny - a może i wszyscy trzej dostąpią tej łaski Boskiej, że dadzą gardła za zdrowie królewskie. Niechże im Pan Bóg pomaga. A jeśli który z nich wróci bez ręki albo bez nogi... to mu dam łóżko w szpitalu miejskim.

I śmiał się Kundrat, ale zaraz w kąć się zasunął, aby który nie spostrzegł jego uśmiechu.

Tak w rozmaitych grupach rozsypali się goście po wszystkich komnatach, pijąc, śmiejąc się, śpiewając i hałasując, zaś w największej komnacie ci i owi zaczęli taniec przystojny i skromny, we dwoje albo we czworo, któremu starsi wtórowali giestami i śpiewem.

Jednakże w tej komnacie było dwoje ludzi, którzy nie hałasowali z innymi. Byli to Formoza i Gniewosz. Zasiedli oni w kąciку, a korzystając z ogólnej wrzawy, spokojnie z sobą rozmawiali.

Gniewosz, od czasu jak z królem przyjechał do Lwowa, bywał codziennie u starego Kijasa i co-

dzień widywał Formozę. Będąc w wielkiem poszanowaniu u jej teścia, mógł z nią zawsze rozmawiać bez przeszkody; ale też tyle było ich szczęścia, ile im przynosiła ta swobodna rozmowa.

Owszem, poznawszy się teraz bliżej i wymieńszy ze sobą wszystkie swe myśli i wszystkie uczucia. miłość ich, która z początku pociągała ich wprawdzie gwałtownie, ale tylko instynktowo ku sobie i tłała tylko jak iskra, mocno paląca i nieugaszona, ale szczelnie zamknięta w ich sercach, rozlała się teraz po całym ich ciełe, objęła umysł i duszę i spoiła ich tak nierozzerwalnie z sobą, jak gdyby w nich obojgu tylko jedna myśl żyła i jedno ożywiało ich teźnienie. Duchowy ich związek był tak potężny, że żadne z nich ani sobie wyobrazić nie mogło, ażeby istniała jakaś taka nadludzka siła, któraby ich potrafiła rozerwać — chociaż oboje razem także dotrzeć nie mogli, jakichby na to potrzeba wypadków, ażeby się mogli kiedyś przed Bogiem i ludźmi połączyć. Była w tem sprzeczność wobec rozumu; ale ta miłość, na której świat stoi, rodzi uczucia tak sprzeczne, a przecieź społem idące z sobą, bo rodzi zarazem tę wiarę, że jest od Boga natchnioną i że oparte na niej nadzieje muszą się spełnić, chociażby się przeciw nim całe piekło sprzysięgło. Formoza miała dotychczas gorętszą wiarę, aniżeli jej ulubieniec, ale dziś była smutną i nie tała przed nim tych rzewnych uczuć, któremi była przejętą.

— Dzisiaj wszyscy się cieszą, — mówiła do niego — jedni otrzymali tytuły i honory, drudzy radują się życiem, które im płynie po myśli, tylko nas ciężka przygniata żałoba, bo nie wiemy, jakie jutro nas czeka. A nadto jeszcze i nasze chwilo-we szczęście już nas porzuca, waszmość już jutro będziesz w drodze, Bóg sam wie dokąd — a ja tu

sama zostanę i chyba w moich łzach znajdę pociechę.

— Ufajmy w Bogu — rzekł Gniewosz — jakośmy dotąd ufali. Bóg widzi, że jesteśmy bez grzechu, że nie budujemy naszych nadziei na cudzem nieszczęściu, że nawet żadna myśl taka w nas nie powstała, do którejbyśmy się przyznać nie mogli — a On znajdzie sposób, aby nam to nagrodzić.

— I ja nigdy inaczej o tem nie myślę — mówiła dalej Formoza — toż nie to mnie dzisiaj zasnuca. Ale waszmość jedziesz na wojnę, a z wojny (bodajbym tego nie wymówiła w nieszczęśliwą godzinę) nie każdy zdrowo powraca

Lecz na to Gniewosz ścisnął ją żywo za rękę i rzekł głosem czystym i pewnym:

— Nie frasujże się tem, moja najmilsza. Już ci na wojnie śmierć chodzi po ludziach, ale i na nią jest sposób. Na wojnie mam ja pancierz na sobie, co go żaden młot nie rozwali. Mam też miecz i siekiere, a moja ręka tak do nich przyzwyczajona, że m jeszcze takiego nie widział, coby do mnie przystąpił, chociażem na niejednej wojnie już bywał, a Bóg mi świadkiem, że m nie uciekał przed bitwą. Teraz zaś mam jeszcze moją własną chorągiew, każdy tam człowiek jak wieża żelazna, a wszyscy się siebie trzymają, jak gdyby byli skuci łańcuchem; chciałbym też widzieć tych Turków, coby się o nas nie rozbili jak garniec gliniany. I wojna się przegra, jeżeli Bóg zechce, i z całego pospolitego ruszenia tylko strzęple zostaną, a ja z moją chorągwią tak samo tu wrócę, jakem wyjechał.

Więc Formoza odetchnęła z głębokiej piersi i spojrzała nań oczyma pełnemi wesela i uwielbienia, boć wprawdzie zawsze wiedziała, że to nie taki rycerz jak inni, ale teraz on sam to potwierdził, on, który nigdy nic nie udaje, on, który ma

rozum bystrzejszy niż którykolwiek z ludzi żyjących, on, który wie wszystko i nigdy się w niczem nie myli... Te słowa jego całkiem ją uspokoiły. Widząc to, Gniewosz także się rozweselił i tak mówił dalej:

— Nie chciałem ci tego powiadać, bo nie lubię budować na piasku, ale ci powiem, bo słowo królewskie to przecie nie piasek. Podczas rycerskiego obrzędu król nas spostrzegł na zamkowej galeryi, a po obrzędzie na osobności ze mną rozmawiał, mówiąc: — Słysz, Gniewosz! widziałem ciebie za plecyma tej damy, co cię chwyciła za serce i żal mi się was zrobiło, bom czytał na waszych twarzach jak w książce, że oboje daliście życie za siebie. Z powodu tego tam sejmku i teraźniejszej wojny nie miałem czasu tem się zatrudnić, ale daję tobie moje słowo królewskie, że jak tylko z tej wojny powrócimy, zaraz się zajmę tą sprawą — a choćbym miał którego biskupa z tem posłać do Rzymu, to posłę, ażeby wam obojgu rozwód wyrobić. Mój brat kardynał zaprzęgnie co najmądrzejszych teologów do tej roboty, ażeby papieżowi do zrozumienia wyłożyli wasze gravamina, a ja też także za tem przemówię. A potem już cię i z rotnistrzowstwa wypuszczę i dam ci jaką kasztelanię, ażebyś też sobie po trudach wojennych w małżeńskim szczęściu wyczął...

Kiedyż Gniewosz to mówił, Formoza go z całej siły cisnęła za rękę, aż też i sobie wycisnęła łzy z oczu. Ale te łzy spłynęły po rozpromienionej twarzy — i wyglądały jak brylantowe krople rosy na listkach róży, patrzącej swoją radosną twarzą na słońce wschodzące.

A wtedy starsi już tak podpili, że dalej nie mogli, zaczęli żegnali się ze starym Kijasem na środku komnaty i zabrawszy z sobą młodzieź, wyszli tłumnie z gościny.

Gniewosz tylko jeszcze raz ścisnął Formozę za rękę i wyszedł także z innymi.

A nazajutrz rano królewskie chorągwie pierwsze ruszyły w pochód, stanowiąc straż przednią obozu.

W obozie już od samego świtu wszczął się ruch wielki, rumor i hałas, jak w piekle. Trąbiono i bito w bębny na wszystkich punktach, od Niskiego Zamku do Malechowa, a od Zboisk do Laszek. Chorągwie ściągały się jedna za drugą, za niemi regimenty piesze zaciężne, niemieckie i czeskie, armaty na wozach uprzężonych wołami, a wreszcie wozy wyładowane namiotami, kuchnią, piwnicą, a strzeżone przez służbę pańską i ciurów.

Wczas rano król z wielkim dworem zjechał do obozu i słuchał z konia mszy św.—po mszy zaś puścił się w drogę, mijając miasto, a za nim cały obóz wyruszył.

Natenczas były znowu złe znaki, z których trwożliwi wywodzili złe wróżby. Ksiądz przy mszy św. w obozie upuścił był Sakrament na ziemię i ledwie go mógł odszukać, szły nawet głosy, że go całe nie znalazł. Po nabożeństwie jeszcze raz on chłop ze skażonym rozumem się zjawił i zastępując chorągwiom drogę, wołał do nich: «Na swe złe jedzicie, żaden z was ztamtąd nie wróci, lepicj wracajcie do domu». Królewski koń biały, co szedł na podwodzie, w bardzo mizernym potoku utonął. Nuż wreszcie woły, co spiże wiozły, a których było ze dwieście, wiatr porozpedzał po polach, że aż konnych pacholków trzeba było za niemi wysyłać, aby je spędzić do wozów. Niektórym więc serce zmiękło do tego stopnia, że jęli przekładać królowi, aby zaniechał tej wyprawy. Ale król jeszcze na nich się zgniewał i sfukał ich, mówiąc:

— Kto chce wróżb słuchać, niech idzie do wróżki — a jeśli kogo tchórz oblatuje, to niechaj wraca do domu.

Zaczem jak tylko król wspomniał o tchórze, zaraz wszyscy umilkli.

Ale w dalszym pochodzie zdarzył się inny wypadek, który był także złym znakiem, tylko zupełnie innej natury. Albowiem kiedy król do Halicza przyciągnął, zastąpili mu drogę posłowie od wojewody Stefana. Było ich trzech: wszyscy trzej bardzo zacni bojarowie wołoscy, o ogorzałych twarzach, orlich nosach, czarnych oczach jak galki, w atłasach i aksamitach i czapkach uszatyh węgierskich z piórami, na koniach wielkich tureckich z długimi grzywami — a jechali pod rozwiniętym sztandarem, na którym było widać czarną głowę bawołą w jasnem polu.

Po tym sztandarze król ich poznał zdaleka i zaraz się srodze zachmurzył, zaczem rzekł do Kamienieckiego, który jechał po jego lewej.

— Imć pan wojewoda pewno mi znowu upomnienia posyła, ale teraz już nie czas na dysymulacye.

Kamieniecki, będąc wtejemniczony we wszystkie skryte zamiary królewskie i przeczuwając zapewne, co się w tym razie stać może, zrobił mu na to półgłosem jakąś uwagę, ale król odpowiedział mu dumnie:

— Co król polski, to nie wielki ksiązę litewski, nie będzie też wchodził w traktaty z hospodarem wołoskim.

Był to przycinek do brata królewskiego Aleksandra, który ciągle przyjmował posłów Stefana i ponawiał z nim zapewnienia przyjaźni, a posiłków jeszcze dotąd nie przysłał, o czem król dobrze wiedział i nie mógł mu tej dwoistści przebaczyć.

Zaczem Kamieniecki umilkł — a tymczasem posłowie wołoscy zbliżyli się do króla, pokłonili mu się z wielkim respektem i zaraz zaczęli przedkładać swoje poselstwo.

Mówili po rusku; język rumuński na Wołoszczyźnie i Multanach krył się jeszcze natenczas pomiędzy ludem, bojarowie znali wprawdzie język łaciński, ale niedostatecznie, zaczem górował tam język ruski, tym też językiem mówiono powszechnie i w nim spisywano dokumenty publiczne. Posłowie powtórzyli królowi te same oświadczenia wojewody, jakie mu niedawno przywieźli Krzesław z kurozwęk i Podlodoski, ale była w ich wykładzie znaczna różnica, albowiem określiwszy dosyć pobieżnie gotowość Stefana połączenia się z królem i uderzenia z nim razem na Turka, zażądali z naciskiem, ażeby król szedł na Kamieniec prosto do Białogrodu, a Wołoszczyznę ominął, a dodali już prawie groźnie: «że jeżeli król wtargnął w ziemie wołoskie, tedy wojewoda Stefan każe mu powiedzieć, że będzie tego żałował».

Kiedy król usłyszał tę groźbę, spłonął tak srogim gniewem, w jakim go jeszcze nikt nigdy nie widział. Oczy mu się zaiskrzyły jak dwie gromnice, usta mu drgały jak w febrze, prawą ręką kapelusze przesunął na prawe ucho i tylko pojedyncze słowa wylatywały mu z pomiędzy zębów jak kule z armaty:

— Zuchwalcy!... Cygany!... Ten wójt wołoski... mnie będzie groził! Ja piekło mu zrobię na jego wójtowstwie, a ogniem i krwią mu odpowiem na jego groźby. W dyby tych panów posłów!

Jakoż zaraz krzyknął na Kamienieckiego, aby ich całą chorągwią otoczył. Kamieniecki skoczył gdyby go kto z procy wystrzelił, w jednym mru-

gnieniu oka odciął Wołoszę od króla i ścisnął ją w środku swojego rycerstwa.

Napróżno posłowie protestowali się przed Kamienieckim i nawoływali swą nietykalność, napróżno niektórzy panowie polscy usiłowali gniew króla uspokoić i przywodzili racje polityczne, ażeby posłów nie więzić: król nikogo nie słuchał — a natomiast dał rozkaz, ażeby posłów pod dobrą strażą odprawiono do Lwowa i zamknięto do turmy, który to rozkaz natychmiast jest wykonany.

Owo więc na ten choleryczny postępek króla zaczęto mruzczyć w całym obozie, a zwłaszcza pomiędzy starszyzną. Jednogłośnie wyrokowano, że posłów nie godzi się imać i więzić, bo jest to przeciwko powszechnemu prawu narodów. Jedni uważali to za znak najgorszy i ominowali z tego nieszczęścia, inni zaś wpadali na rozmaite domysły o powodach, które tak nagle zmieniły przyjacielskie sentymenty Stefana. Ale pomiędzy znacniejszymi panami, którzy się na własną rękę trudnili politycznymi sprawami i mieli po zagranicznych dworach swoich przyjaciół, a często i szpiegów, szła już wieść głucha, jakoby Węgrzy, nie chcąc dopuścić, ażeby król zabrał ziemie wołoskie dla Polski, ostrzegli Stefana o sekretnych zamiarach królewskich, a nawet jakoby mu na ten wypadek już posłali zbrojne posiłki. Tak też było w samej istocie.

Wprawdzie w obozie tylko niektórzy znaczniejsi panowie o tem wiedzieli, ale jak to zazwyczaj zły humor spływa nieświadomie z większych na mniejszych, tak i tym razem nieukontentowanie rozniosło się po całym pospolitem ruszeniu, szlachta bardzo cierpko sarkająca za to na króla (o czem Wilczek dawniej już wiedział), że prowadzi politykę dynastyczną, jagiellońską, ale nie polską, że szafuje krwią narodu polskiego dla osadzenia swojego brata na księstwie wołoskiem, że żadnych z nikim nie

pozawierał sojuszów, że wcale nie myśli o wojnie w obronie wiary przeciwko niewiernym Turkom, że owszem chrześcijańskich chce zawojować Wołochów, że wreszcie tą wojną tylko jeszcze całą potęgę turecką ściągnie na Polskę... Król, dowiedziawszy się o tych kwasach w obozie, kazał pospolitego ruszenia bystrzej pilnować i pochód przyśpieszył; ale mimo to ten i ów szlachcic wspomniął sobie na żonę i dzieci i wymknął się chyłkiem z obozu—a kiedy armia do Śniatynia przybyła, nie było już całych osmdziesięciu tysięcy żołnierzy.

Jednakże od Czerniowiec znówu lepszy duch wstąpił nawet w pospolite ruszenie, albowiem straże przednie zastały miasto całkiem wyludnione, wszyscy mieszkańcy wynieśli się w lasy i nikt go nie bronił i takie opustoszone wsie spotykano w całym dalszym pochodzie. Zaczem poszedł głos po całym obozie: Jakeśmy wzięli Czerniowce, tak i Suczawę weźniemy, nigdzie Stefan nie postawi nam czoła.

Ale Suczawa, położona na górze, była fortecą, jak na owe czasy nawet bardzo silnie obwarowaną. Panując nad rozległą doliną, rozciąga się pomiędzy pochylistemi wzgórzami i była ze wszystkich stron otoczona wałami i nadzwyczajnie silnemi murami, na których gęste wznosiły się baszty, armatami zjeżone. Zdobycie jej nie było łatwym zadaniem, nawet dla tak potężnej armii, jak polska.

Król, myśląc zrazu, że znajduje się w niej tylko słaba załoga, rozwiniawszy całą swą armię opodal pod lasem, tak, aby ją z murów widziano, posłał parlamentarzy, wzywając załogę do poddania się, obiecując w takim wypadku nie tknąć żadnej osoby, ani niczyjej własności, lecz na wypadek oporu grożąc srogimi karami. Ale komendanci kazali mu odpowiedzieć, że wojewoda Stefan zagroził im również srogimi karami, jeżeliby się poddali, zaczem bronić

się muszą do ostatniego oddechu. Natenczas król postanowił oblegać Suczawę.

Fredro, jako najdoświadczeńszy ze starych rycerzy, z dodatkiem Kamienieckiego, bardzo uczynego żołnierza, otrzymał od króla rozkaz urządzenia oblężenia. Fredro wywiązał się bardzo rozumnie ze swego zadania. Podzieliwszy całe pospolite ruszenie na cztery obozy, otoczył nimi ze wszystkich czterech stron tę rozległą fortecę. Każdy obóz okopał się na swoim stanowisku, okrzył się z trzech stron swemi wozami, wytoczył dwanaście armat przed siebie i został opatrzony w zaciężną piechotę i ciurów, uzbrojonych w młoty i siekiery do rąbania murów. Wszystkie cztery obozy zostały powiązane z sobą łańcuchem czat, bardzo pilnie strzeżonych. Naczelne dowództwo nad temi obozami wzięli czterej wojewodowie: Spytek Jarosławski krakowski, Jan Szram Tarnowski sandomierski, Ambroży Pańkowski poznański, a teraz jenerał wielkopolski, i Mikołaj Tęczyński ruski.

Król stanął od wjazdu pod lasem i oprócz dwunastu dział, zatrzymał przy sobie cały swój dwór wojskowy. Dwór ten składał się z przeszło pięciu tysięcy samego konnego rycerstwa z knechtami, lecz było przy nim więcej niż drugie tyle piechoty, ciurów i rozmaitej służby królewskiej. Z dworem królewskim stanęli razem biskupi ze swemi pancernemi pocztami — a przyłączyły się doń także wszystkie chorągwie wolontaryuszów, jak Kergolaja, Tigranesa i Olizara. Do dworu należał także Wilczek na czele bardzo pięknej chorągwi, złożonej z jego własnych żołnierzy, z okolicznej szlachty i niektórych mieszczan tustańskich.

Przy jego chorągwi wisiał także Biłowus z poczem swoich dziesięciu żołnierzy i był dziwowiskiem dla wszystkich dworskich paniczów, tak okrutnie dziko wyglądał. Był bowiem ubrany w pancerz

i hełm skórzany, tarczę miał także skórzaną, siedział zaś na swoim kudłatym centkowanym ogierze, z łukiem na plecach, z toporem pod lewem kolaniem i z pałką na temblaku — tak samo byli przybrani jego wszyscy żołnierze, bo nawet i konie takiego samego miotu, chociaż niejednakowej maści im podobierał. Biłowus nienawidził Wilczka jak wcielnego szatana, nosił nawet w skrytości swojego serca zamiary zemsty przeciwko niemu za uwiedzenie swej córki, którego mu nie mógł przebaczyć; gdyby się z nim znalazł sam na sam, to kto wie, czyby go złość nie uniosła i czyby się nie rzucił na niego, aby go zabić, ale Wilczek był jego panem. Kazał mu się stawić ze swym poczem i ciągnąć z nim razem na wojnę. Biłowus chyba nie był Rusinem, gdyby był tylko o tem pomyślał, aby się sprzeciwić rozkazowi swojego pana. Długoletnia niewola tak samo zamienia się w tradycję i żyje we krwi następujących po sobie pokoleń, jak duma rodowa, opozycja przeciwko władzy monarszej i żądza niepodległości.

Urządzenie oblężenia trwało przez cały tydzień, poczem się wzięto do szturmów. Obozy polskie były kolejną z armat w mury Suczawy — a Wołosi odpowiadali im z murów działowemi kulami. Kule te niewielką szkodę wyrządzały sobie wzajemnie, bo pod owe czasy o strzał celny nie było łatwo. Czasem kula wołoska porwała kilku żołnierzy w polskim obozie, pogrzebano ich z żalem; czasem kula polska zerwała kilkunastu Wołochów z murów i wielki popłoch uczyniła pomiędzy nimi — a wtedy rozgłośny śmiech wybuchał w polskim obozie i rozlegał się przez strażę po innych obozach.

Artylerya polska była lepszą od wołoskiej, byli pomiędzy nią artylerzyści za granicą wyćwiczeni w tej służbie. Toż kilka, ba nawet kilkanaście razy udało się jej, strzelając przez cały dzień bez

ustanku, wybić pod wieczór dostateczny wyłom w murze fortecy, ażeby weń rzucić piechotę z drabinami i siekierami. Wtedy przygotowywano się do szturmego nazajutrz rano, ale zawsze Wołosi przez noc wyłom zamurowali nanowo, tak, że nazajutrz trzeba było znowu kazać grać działom, ażeby nowy wyłom wystrzelić.

W tej obłączniczej robocie było dużo opieszałości z naszej strony, naczelnicy dowódcy obozów nie rozwijali należytej energii. Król na nich wcale nie naglił, sam bardzo rzadko się pokazywał w obozach, powiadano, że jacyś obcy posłowie przyjeżdżają do jego namiotu, że i z innymi układy p. o. wadzi, że wojewoda Stefan kryje się ze swemi wojskami po lasach pobliskich, że sam prosi o pokój, że król węgierski przez swoich wysłanników także do pokoju namawia, że więc to wszystko się skończy na niczem. Ztąd szlachta także się nie bardzo śpieszyła z wzięciem Suczawy, pozwalała sobie wczasów, jak gdyby w własnym kraju leżała, jedzono i pito, grano w karty i w kości, a rozpoczynano strzelanie do murów dopiero z południa, jak gdyby tylko dla rozrywki po dobrym obiedzie.

Byli wprawdzie i niecierpliwi, co przyszedłszy na wojnę, pragnęli się wybić. Ci podjeżdżali bliżej pod mury fortecy i wyzywali Wołochów na harce, usiłując ich w pole wywabić dosadnymi komplementami i wołając do nich na mury:

— Murdziaki! cygany! wielcy rycerze za murem! wyleźcieno z tej wilczej jamy, a dajcie nam pole! Ty taki synu, z tym garnkiem dziurawym na łbie, a koguciami piórami, sam do mnie, a spróbuj się ze mną!

Inni wyrabiali im różne psoty, podnosząc łby bawole na kopiach, jakoby na drwiny ze sztandarów Stefana, wywieszając czepece kobiece na tykach i strzelając do nich z samopalów, nabitych śmie-

ciem rozmaitego rodzaju. Wołosi się też czasem zniecierpliwili, otwierali nagle bramę i wybiegali ku naszym, po kilkunastu, po kilku, nawet i pojedynkiem, a wtedy w oczach tego albo owego obozu staczały się bitwy, czasem bardzo piękne, nieraz zaś ku śmiechowi całego rycerstwa. Na te harce wyjeżdżało bardzo wiele młodzieży, nawet z domów najpierwszych, bo jest to wyborna szkoła dla młodego rycerza, wszakże pomiędzy nimi i wielu starszych, ten z nudów, ów dla popisania się ze swoją zręcznością, a trzeci dla łupu, bo wyjeżdżali przeciw nim często bojarowie na bardzo pięknych koniach i ubrani w wyzłacane pancerze i hełmy, czasem w jedwabie i aksamity, jak na wesele.

Dlatego zaś i Biłowus nigdy przy takich harcach nie chybił: wyjeżdżał w dziesięć koni, sam nie wyzywał nikogo, tylko się gdzie za krzakami przyczaił — a w danej chwili jak lew z haszczów wypadał, nie zważając wcale na obyczaje rycerskie, Wołoszę pałąką zabijał, wołając za każdym uderzeniem: *Kyrie elejson! Chryste elejson!* — zabitych lub ogłuszonych obdzierał do naga, zabierał konie i z tryumfem powracał do królewskiego obozu.

Wszelako w tych podjazdowych potyczkach najdzielniej się odznaczał Olizar; ten nie często podjeżdżał pod mury fortecy, natomiast zaś na czele dwudziestu albo trzydziestu kozaków zapuszczał się w dalsze kraje po za fortecę, tam czasem zdobył jakich kilka wozów z żywnością, czasem jaki dworzec bojarski wytrzebił, a zawsze niemylnie i nieochybnie przyprowadzał z sobą języka. Od tych języków dowiadywano się przeróżnych rzeczy. Wieści te zrazu były bałamutne i sprzeczne, lecz z czasem wyłoniła się z nich ta ważna, a zarazem niepokojąca wiadomość, że wojewoda Stefan na czele bardzo znacznych i dobrze uzbrojonych hufców włości się naokoło Suczawy, że styka się z Tatarami, którzy

się całemi chmurami błąkają po obydwóch brzegach Seretu i że są wieści, jakoby Turcy ciągnęli od Multan ku północnemu zachodowi. Olizar przypro-wadził dwóch języków tatarskich, których Tęczyń-ski, znający ich mowę, sam badał i którzy mu po-twierdzili te wieści..

Oblężenie trwało już wtedy dwa miesiące z okła-dem i wszystkim się uprzykrzyło. Te wieści za-trważające rzuciły popłoch pomiędzy starszsznę po-spolitego ruszenia — a wtedy się dowiedziano, że król już od miesiąca jest chory, nabawił się febry mołdawskiej, schudł, pożółkł na twarzy i prawie jak stwór już wygląda, zwłaszcza, że nie mogąc wstać z łoża, nawet i brodę zapuścił

Więc województwa jęły się niecierpliwić, za-częły się wyrzekania na króla, sprzeczki ze stron-nikami dworu, nieposłuszeństwa i sejmikowania — i miano już posłów wysyłać do króla, kiedy jednego dnia otrąbiono po wszystkich obozach, że król za pośrednictwem posłów węgierskich zawarł pokój z wojewodą Stefanem i cała armia ma się wybierać do domu.

Zaczem wszyscy chwalili Pana Boga i króla; bo wtedy już się zabrało na drugą połowę paździer-nika, ojcowie rodzin od sześciu miesięcy nie widzieli żon swoich i dzieci, już żołnierze objedli wszystkie wsie okoliczne i głód się dawał uczuwać w obozie, regimenty zaciężne, niemieckie i czeskie powyłamy-wały się całkiem z karności, wyprawiały się na ra-bunki w głąb kraju, paliły i rabowały wsie, popeł-niały najdziksze okrucieństwa na poddanych woło-skich, a nawet buntowały się przeciw swym przeło-żonym. Już i tchórze się zjawiać zaczęli, których ubierano w czepece niewieście i tak oprowadzano po wszystkich obozach; już wreszcie się i zdrajcy zda-rzyli, których pochwymano, jako się przekradali do Wołoszy, a których król kazał przez kata żywcem

ćwiertować. Kto zatem kochał ojczyznę i króla, choćby mu się serce krajało z bólu, że taka świetna wyprawa tak spełzła na niczem, ten musiał przecie z wdzięcznością westchnąć do Boga, że się nareszcie ta niepoczesna wojna skończyła.

Ośm dni trwało zwijanie namiotów, ładowanie spiżów i wszelakich pakunków na wozy i przygotowywanie się do pochodu, aż wreszcie na pięć dni przed końcem tego miesiąca cała armia ruszyła w pochód.

Do tego odwrotu król miał dwie drogi przed sobą: jedną położystszą, lecz dłuższą, brzegami rzeki Suczawy — a drugą górzystą, lecz krótszą, przez las zwany Bukowiną. Król, nie ufając chytremu Stefanowi, pomimo rozpoczętych pokojowych układów, a wiedząc już, że Tatarzy gromadzą się nad brzegami rzek gęstemi chmurami, obawiając się zatem nad rzeką zasadzek, obrał drogę przez las. Ale wtedy już wszędzie czyhały na niego zasadzki...

Król, zawsze wiedziony szlachetnym duchem rycerskim, nie chcąc dopuścić, ażeby ktokolwiek mógł go posądzić, że sam pierwszy uchodzi z pola, a szlachtę zostawia za sobą, chociaż z powodu choroby leżał na wozie, kazał województwom iść naprzód i między nie porozdzielał piechotę i spiże. Tak szli naprzód Mazury, za nimi Wielkopole, potem Małopolska, a Ruś na końcu. A szli wygodnie, broń poskładawszy na wozy, niektórzy nawet pozdejmowali z siebie pancerze albo koszulki i poruczyli je swoim woźnicom. Zgoła odprawowano ten odwrot z tak spokojnym umysłem, jak gdyby nie było żadnego niebezpieczeństwa.

Tymczasem, kiedy pospolite ruszenie weszło w sam środek lasu, którego było więcej niżeli na dwie mile, zaczęły się zjawiać na bokach zbrojne

gromady, z prawej strony i z lewej, ba, nawet i z przodu, i hałasować z naszym żołnierstwem. Popłoch poszedł po całym pospolitem ruszeniu: zagrano w trąby, uderzono w bębny i kotły, dając znać jedni drugim, że są napadnięci i muszą się bronić. A wtedy wszczął się gwałt hałas i nieład i zamieszanie, jakiego jeszcze nikt nigdy nie widział w armii tak licznej i tak obciążonej wozami. Ten szuka swojego pancerza, ten broni, a znaleźć nie może; ów woła na swoich ludzi, ale nikt go nie słyszy; wojewodowie, kasztelani, rotmistrze latają na koniach tam i sam, krzyczą w niebogłosy na swych towarzyszy, ażeby ich zebrać i sprawić, ale towarzysze zebrać się nie mogą pomiędzy drzewami, rzucają się w tę stronę i w ową, nie poznają się, wpadają jedni na drugich, nie mogą ani głosu dosłyszeć, ani też dojrzeć swojej chorągwi, której chorąży między drzewami rozwinąć nie może. Zgoła wre, kipi i przewraca się to wszystko na całomilowej przestrzeni, jak w kotle—a z tego wrzątku wylatują tysięczne wołania i głosy, właśnie jak gdyby się dno piekiel rozwarło i wylatywały zeń rozpaczliwe jęki dusz potępionych.

A tu tymczasem z prawej, z lewej i z przodu chmury cudzego żołnierstwa rozmaitej broni, pomiędzy którym wszakże widziano dobrze siedmiogrodzkich Szeklerów, gromady chłopów wołoskich uzbrojonych w siekiery i noże, i całe ściahy, ba! nawet czambuły Tatarów, właśnie jak roje pszczoł rozigranych rzucają się na nas, obsiadają nasze rycerstwo, gromadzące się w grupy, uderzają z wściekłością dzikiego zwierza, kłóją, rąbiają, mordują. Tu i owdzie ponadcinane drzewa walą się na nas, druzgocą ludzi, konie i wozy, na obalonych wpadają chłopci wołoscy z nożami, wyklówiają im oczy i wyprówiają wnętrzości...

W lesie ani pomyśleć o tem nie można, ażeby

bronić się kupą, każdy więc broni się pojedyńkiem jak może, inny wymyka się z lasu i chce się ratować ucieczką, ale niebawem zgoniony pada pod toporem chłopów wołoskich na polu...

Pomiędzy walczącymi stary Fredro był pierwszym, który się w tym straszliwym popłochu obaczył, całą przytomność umysłu odzyskał i młodzieńczą rozwinał energię. W mały czas po pierwszym napadzie, widząc, że w gęstym lesie hufca sformować nie może, rzucił się z trębaczami na najbliższą polanę i rozwinawszy tam swoją chorągiew, wołając przytem ze wszystkiej piersi, a trąbiąc, zgromadził przecie około siebie blisko stu jezdnych. Z tym hufcem zaczął na najeźdników uderzać, gdzie tylko do nich mógł dotrzeć i swoją siarczystą a uporną odwagą prawie cudów dokazał. Podruzgotał bowiem kilka oddziałów wołoskich i tatarskich na miazgę, które się po kolei na niego rzucały, potratował ich niedobitki, a trupy ich wdeptał w ziemię końskimi kopyty. Niemało swoich, co byli już w łykach, z pazurów tatarskich uwolnił, wołoskiego hetmana Szoszumiło, murzę Mulasza, jego brata Jadyana i dziesięciu murdziaków zabrał w niewolę i z takim samem zuchwalstwem na dalszych najeźdzał, ale siedem razy w tych bitwach w bok ranny i dwa razy w głowę, opadł na siłach, zsunął się z konia i został przez Tatarów nielitościwie dobity.

Fredro zginął!—rozleciał się głos po obozie i nową grozą napełnił serca rozpaczliwie się broniącego rycerstwa.

Jego przykładem zagrzany, Mikołaj Tęczyński, wojewoda ruski, poszedł za jego śladami. Także wyprół się z lasu z kilkoma towarzyszami, pomiędzy którymi był Kmita, i w czystem polu przystojny hufiec zgromadził. Ale raz tylko na siedmiogrodzkich Szeklerów uderzył, złamał ich i rozproszył—a w rozsypce, uganiając się za ich hetmanem,

uderzony młotem żelaznym w głowę, spadł z konia, ażeby już nie wstać.

Kmita, który w niebezpieczeństwie poczuł swoją krew młodą, wściekł się ze złości na tych chłopów węgierskich, którzy młotem śmieli uderzać na pana, zebrał hufiec nanowo i od siedmiu tysięcy dyabłów na Węgrów uderzył, ale ranny w pierwszym ataku, szczęśliwie uniesiony był z pola przez swego syna i swoich zamkowych żołnierzy.

Tęczyński zginął!—rozbiegł się znowu głos zło-wrogi po całym obozie — a odtąd już takie przerażające głosy wciąż się powtarzały: Gabryel Tęczyński zabity! Piotr Murdelio usieczon! kasztelan sądecki Grot ze Słupca i Konar na drzewie powieszon! Tarnowiecki, Pruchnicki, Humieński, zginęli! Odrowąża uprowadzili Tatarzy! Strach wielkooki zdejmuje coraz bardziej walczących, ale mordecza bitwa trwa dalej.

Król, stojący jeszcze w tem samem miejscu, na brzegu lasu od strony Suczawy, gdzie przez cały czas oblężenia leżał obozem, na wieść tego niespodziewanego napadu niezmiernie się przeraził i zrazu chciał ruszać na odsiecz pospolitemu ruszeniu. Miał on wszystkie swoje chorągwie nietknięte pod ręką — a była to siła nieszpeta, zwłaszcza, że tam człek w człeka i koń w konia były w wielkim porządku i doskonałej karności, było też przytem i kilka tysięcy piechoty w odwodzie. Ale po naradzie ze starszyzną odsiecz okazała się niemożliwą, bo chyba było jeszcze i tę resztę armii rzucić w tę paszczę piekielną, aby ją pojedyńkiem wybito.

Król posłał Kamienieckiego w las, aby mu przyniósł wiadomości, ale Kamieniecki nie wrócił. Nie pozostało tedy nic innego, jak porzucić chorągwie po brzegach lasu, a zarazem mieć oko na Suczawę, ażeby przynajmniej z tyłu nie dopuścić

napadu. Chorągwie tedy przechadzały się po brzegach lasu, ta i owa starła się z jakim hucem wołoskim albo ściahem Tatarów i powracała z wiadomościami do króla.

Potem zaczęły przylatywać do niego wieści o tych, co zginęli. Śmierć Fredry głębokim dotknęła go bólem — a kiedy mu doniesiono, że Tęczyński zginął, łzy mu w oczach stanęły. Rannego Kmity kazał przynieść do swego wozu i zapomniawszy dawnych niechęci, żałował go szczerze i kazał opatrzeć przez swoich lekarzy.

Niebawem potem i Kamienieckiego przyniesiono na derkach, ranny był w rękę i w głowę. Król go pytał: co robić?

— Nic — odpowiedział mu Kamienieki — w lesie drzewa popodcinane, właśnie jakoby cały las był napełniony wilczymi jamami. Padliśmy ofiarą naszej nieopatrności. Połowa Polski tam zginie. My patrzmy, abyśmy w czystym polu zostali, gdzie się można obronić, a wreszcie nie żal i zginąć.

Król się odwrócił od niego, bo Kamieniecki pewnie mu także tej wojny odradzał i cokolwiek teraz powiedział, to brzmiało mu w uszach, jak gdyby wymówka, zatwierdzona krwią tyłu szlachetnych.

Tak przylatywały wciąż wieści z lasu i uderzały w króla, jak kule armatnie: ten został usieczon, drugi powieszon, a trzeciemu wypróto jelita. I było tych pobitych i pomordowanych już całe setki, ba nieledwie tysiące. Gdyby mu całe piekło było runęło na głowę, to byłby nie czuł więcej palącego ciężaru na swoim sumieniu, jakoż otaczający wóz jego panowie i senatorowie duchowni mieli już litość nad nim i nie powiadali mu, kto tam znów zginął.

Jednak niebawem zaczęły tak samo gonić za sobą wieści jeszcze daleko straszniejsze.

Oddział Wołochów, złożony z jakich trzech tysięcy jazdy, uderzył na czoło obozu i wyciął sześćset Mazurów do nogi, tak, że ich ledwie kilku uciekło.

Ci sami Wołosi prą dalej w las, pozabierali armaty i wywożą je z lasu...

Nasze własne piechoty niemieckie i czeskie zaczynają się burzyć. Owi okrzyczani Husyci z pod Laszek napadają na nasze własne wozy i zaczynają rabować...

A wreszcie Olizar, który najdalsze robił wycieczki i głównie miał na oku fortecę, przyleciał pędem tak wściekłym, że się koń pod nim rozpie-rał i przyniósł wiadomość, że kędyś z nad brzegów Seretu ciągną znaczne oddziały wojsk ku Suczawie, jedne zajmują stanowiska opuszczonych przez nas obozów, a drugie wchodzą w bramy fortecy, jakoż widać dobrze coraz wzmagający się ruch zbrojnego ludu na murach...

Trudnoż już było tych wiadomości nie powiedzieć królowi. Kiedy bowiem pospolite ruszenie, co chociaż się tylko broniło, jednak usiłowało przeć naprzód, mogło zostać rozbitem i rozproszonem przez tych Wołochów, co uderzyli na Mazurów, a ci Wołosi, wsparci świeżemi posiłkami, mogli dotrzeć przez las aż do obozu królewskiego; wojska ściągające ku Suczawie mogły nań z tyłu uderzyć, a tak dwór królewski mógł zostać wziętym w dwa ognie. Zważywszy to położenie, król już się nie namyślał, tylko wysłał co najodważniejszych towarzyszy w las z rozkazem, ażeby się pospolite ruszenie, gdziekolwiek jest, cofało ku brzegom i oparło o obóz królewski.

A wtedy już słońce zaczęło zapadać i bitwa w lesie zaczęła ustawać.

Wołosi, co Mazurów wycięli, cofnęli się sami, Szeklerzy i chłopci wołoscy powychodzili także z lasu, uprowadziwszy wiele armat i wozów z łupami, pospolite ruszenie mogło się zatem zgromadzić spokojnie i cofnąć bez wstępu w tę stronę lasu, gdzie leżał obóz królewski. Znajdowały się tam dosyć liczne, chociaż niebardzo rozłożyste polany, na których chorągwie mogły się jakkolwiek pomieścić, porozkładawszy swoich żołnierzy i wozy po lesie i otoczywszy się silnemi strażami.

Ale usposobienie pospolitego ruszenia było, jak wśród pomoru, gdzie trupy leżą jeszcze nieopgrzebane, co chwila ktoś z jękiem boleści duszę oddaje Bogu, a przeto każdemu się trzęsą wnętrzności, bo czuje, że i on w pół pacierza może dać sobą o ziemię. Nieuniknione po takim pogromie żale, niechęci, obawy i narzekania zaczęły się rozlegać po całym pospolitem ruszeniu, a tu i owdzie srogie się podnosiły lamenty. A nikt nikogo nie koił, bo każdy sam miał czego żałować. Ten stracił ojca, ten syna, ów szwagra lub przyjaciela, jednemu zabrano wozy z ładunkiem, drugi sam został spieszony, a trzeci nie miał już ani kawałka broni przy sobie...

Strach nietylko odbiera serce, ale i wyobraźni nasuwa niestworzone widziadła, a tak z zapadającą nocą rozeszła się straszliwa dla wszystkich wieść po tym rozbitym obozie, że król umyślnie wydał szlachtę na rzeź, ażeby ją zmniejszyć w królestwie i podbić, zaś teraz po rzezi ujechał milczkiem brzegami lasu i niemasz go już w obozie. Ci i owi towarzysze powiatowych chorągwi przylatywali do niego z wybladłemi twarzami i wystraszonemi oczami, przynosząc mu tę wiadomość i zapowiadając, że jeśli temu nie zapobieży, to albo bunt wybuchnie

w obozie, albo zanim słońce zejdzie, całe pospolite ruszenie rozleci się na cztery wiatry...

Natenczas król, chociaż tak bardzo niemocen, że ledwie mógł się na nogach utrzymać, zszedł z wozu i kazał dać sobie konia. Razem z nim wsiedli na koń co najwaleczniejsi rotmistrze jego chorągwi, biskupi i dygnitarze nadworni, król kazał halabardnikom swoim pozapalać łuczywa i świece woskowe i w tem otoczeniu, wśród ciemnej nocy, pojechał w las, objeżdżając wszystkie chorągwie pospolitego ruszenia, zatrzymując się przy każdym wojewodzie, rotmistrzu lub kasztelanie, pokazując się wszystkim przy jasnym blasku łuczywa, przemawiając do każdego powiatu, dodając serca żołnierzom i zapewniając ich, że jest przy nich, że zginie z nimi, jeżeli taka jest wola Boża, ale ma w Bogu i waleczności swoich chorągwi nadzieję, że się obronimy i klęskę tę sowicie tym zdrajcom wynagrodzimy...

Tuż za orszakiem królewskim, na swoim białym koniu, w pancerzu a hełmie i z mniszym habitem przewieszonym przez plecy, z krzyżem w lewej ręce, a z wężykowatym mieczem w prawicy, jechał ojciec Chryzostom i zaraz przy pierwszym powiecie, jak tylko król skończył swoją krótką przemowę, zabrał głos z konia i swoją złotoustą wymową miotał na nich zaklęcia i błogosławieństwa, które tak na nich padały, jak gdyby po czarnem niebie jasne błyskawice biegały. Zaczem z natchnienia Bożego świetne zapowiadał im zwycięstwo, a kiedy im to prorocstwo wykładał, to wszystkim się zdało, że wyjaśniło się niebo, a od zachodu do wschodu jasna się na niem rozpięła tęcza...

Chryzostom tej nocy kazał jeszcze daleko wymowniej i świetniej, aniżeli ongi w obozie pod Lwowem. Słowa wylewały się z ust jego jako srebrzysty potok wytryskujący ze skały, a czasem wyskakiwały z przerażającym grzmotem, jak gromy.

Przypominał im, jako we Lwowie za rozpustę obozową przepowiedział im karę Bożą i ta kara Boża spadła teraz na obóz; ale dziś im przepowiada, że gniew Boży już jest prześlagnany i będzie zwycięstwo... A za nim słońce zajdzie nazajutrz, orzeł polski obali na ziemię wołoskiego bawoła i będzie pić jego krew ciepłą w obliczności Suczawy. A w końcu swego kazania zawołał wielkim głosem:

— Bóg zbudził ze snu sługę swojego i kazał mu iść, ażeby widział, jaka jest wiara wasza i jakim sercem będziecie iść do tej sprawy. A jeśli bym nie wskrzesił w was wiary i widział, że się chwiejecie przed wypełnieniem rozkazu Bożego, jam winien, żem nie był godzien przelać na was tej łaski, z którą mnie do was posłano. Natenczas podniosę ten miecz przed wami i sam was powiodę na nieprzyjacioły i wszystką krew moją przeleję, ażebym was z tej haniebnej niewoli odkupił i aby naród wasz odrodził się z miecza, jako jest napisano, i żył w łasce Bożej po dzień wszystkich dni i po wiek wszystkich wieków.

A mówiąc te słowa, podniósł miecz w górę nad głowami cisnących się ku niemu żołnierzy. A przy czerwonym blasku płonącego łuczywa i wśród dymów bijących w górę wszystkim się zdało, że jego miecz goreje płomieniem i jasne światło bije od całej jego postaci, jak gdyby był rycerzem Boskim, przysłanym z nieba na ziemię. Toż jedni spuszczały oczy ku ziemi i bili się w piersi, drudzy rzucali się na kolana, a inni patrzyli na niego zachwyconem i rozpromienionem obliczem, jak gdyby już odnieśli zwycięstwo.

Ten las, w którym król z Chryzostomem i małą garstką swoich rycerzy, otoczony ze wszystkich stron płomieniami gorejącego łuczywa, błędził od jednej do drugiej chorągwi, gdzie ku niemu ze wszystkich zakątów lasu zbiegali się najrozmaitszej broni

żołnierze, gdzie wreszcie tu i owdzie trup leżał, co dopiero co skonał, gdzieindziej wóz przewrócony, a z pod drzew odzywały się jęki umierających, ten las, tak oświetlony i zaludniony wśród nocy, przedstawiał, zaprawdę, widok jakby nie z tego świata. Ktokolwiek patrzył na niego zdaleka, temu się ziemia usuwała z przed oczu i był przekonany, że go złe duchy przeniosły powietrzem w jakiś kąć czyścica, gdzie także w dzikich, skalistych i leśnych ostępach szatani męczą dusze grzeszników ogniem piekielnym, pędząc je przed sobą takimi samymi obłądnymi drogami, jakimi chodzili za życia. I w tym lesie było natenczas także grzeszników niemało, którzy cierpieli męki czyścowe, krwawiąc swe serca w bólu za poległymi i w groźnej obawie o własne swe życie.

Wszelako królowi udało się niebawem uspokoić umysły, a ojciec Chryzostom orzeźwił serca i obudził nadzieję. Król wrócił także ze spokojniejszym umysłem do swego obozu, rad temu, że odjął pospolitemu ruszeniu ubliżające mu podejrzenia i pełen wdzięczności dla Chryzostoma, może nawet, chociaż niełatwo wierzył w siły nadprzyrodzone, z uczuciem poczynającej się wiary w cudowność jego wymowy.

Zaczem obydwie obozy przepędziły noc, wprawdzie bezsenną, ale spokojną, bo tylko po krańcach słychać było hałasy, gdzie regimenty zaciężne się buntowały i trzeba było używać gwałtu, aby je jakkolwiek poskromić.

Nazajutrz rano, już o pierwszym świtaniu, ruch wielki wszczął się w obozie królewskim.

Już w nocy poczty konnicy, patrolujące po brzegach lasu, dawały znać po kolei, że mniejsze i większe oddziały wojsk wołoskich, tatarskich i siedmiogrodzkich ściągają ku Suczawie; teraz, przy

brzasku dnia dojrzano jakby na dłoni, że pod murami fortecy, obrócona frontem ku obozowi królewskiemu, rozłożyła się cała armia, obejmująca co najmniej dwadzieścia tysięcy ludzi, konnych i pieszych, wołoskich i siedmiogrodzkich. Była więc prawie pewność, że ta armia ma zamiar na króla uderzyć, w każdym zaś razie wsiąść nam na kark i jechać na nas, aż póki nas nie wyparuje po za granice kraju.

Na odwrót, pod naciskiem takiej nawały, za którą prawdopodobnie kryły się całe chmury Tatarów, a może nawet i posiłki tureckie, na żaden sposób nie można było się zgodzić.

Król zwołał radę, jednakże na tej radzie nie było żadnej dyskusji, bo postanowiono jednogłośnie i bez namysłu dać bitwę Wołochom pod murami Suczawy.

— Tu zginiemy, lub zwyciężymy! Niech żyje król! — zawołał pierwszy Krzesław z Kurozwęk, biskup kujawski i kanclerz w. koronny, a za nim zawołali wszyscy jakby z jednego gardła: — Niech żyje król! — i na tem radę zamknięto.

Ten okrzyk Krzesława z Kurozwęk, który już wtedy był starcem z białą brodą jak mleko, a w połocistym pancerzu i hełmie, nie jak książę Kościoła, ale jak archanioł Michał wyglądał i swoją wspaniałą postacią prawie nad wszystkimi górował, o tyle więcej porywające wywarł na całej starszyźnie wrażenie, ile że powszechnie wiadano, że najzawzięciej się oponował przeciwko tej wojnie. Oponował przed wojną, ale teraz, kiedy rycerstwo polskie wpadło w tak haniebną zasadzkę i cześć i przyszłość całego narodu były w niebezpieczeństwie, pierwszy się podniósł szlachetnym duchem nad wszystkich i dał hasło do czynu, którego po nas wymagał Bóg i ojczyzna. Toż jego okrzyk przejął świętym dreszczem wszystkich obecnych i jak blask

błyskawicy uderzył we wszystkie chorągwie — i sły-
chać było przez długą chwilę wybuchające na polu
i odpowiadające im z lasu okrzyki jak strzały dzia-
łowe: — Niech żyje król!

Za szczęśliwym przewodem rycerskiego biskupa
nowy duch wstąpił we wszystkie chorągwie, a nie-
których porwał niepowściągnionym zapalem: jedni
się rzucali ku niemu i ściskali go za kolana, dru-
dzy klękali przed nim i o błogosławieństwo prosili.
Spokojny Gnięwosz patrzył z uwielbieniem na niego,
Wilczek trząsał się z niecierpliwości, ażeby jaknaj-
prędzej uderzyć. A miękkiego serca Tigranes gorą-
cemi rozplakał się łzami i szlochał jak dziecko. Wi-
dzieli to starsi i mówili między sobą:

— Zaczny to młodzieniaszek! Daj jemu Boże,
ażeby odbył ten krwawy chrzest z chwałą dla swe-
go imienia.

Potem król kazał się znowu wsadzić na konia
i otoczony starszyzną, począł zasięgać rady do-
świadczeńszych żołnierzy, jak uszykować chorągwie
i jakim porządkiem stoczyć bitwę z Wołoszą. Ci
i owi proponowali, ażeby całą armię uszykować do
boju, a zostawiwszy co najsilniejsze chorągwie dwor-
skie przy królu, wszystkimi siłami odrazu uderzyć.
Ale król się temu sprzeciwił, mówiąc:

— Nigdy ja na to nie pozwolę, ażebyśmy wszy-
tko odrazu postawili na jedną kartę. Ani się na
to nie zgodzę, ażeby województwa znów pierwsze
się narażały. Już mi tam nie szcędzono przymó-
wek, że zanadto szafuję krwią szlachty, nie daj tego
Boże, ażeby na takie przymówki rzeczywiście za-
służył. Dwór królewski a ja — to jedno, mój dwór
dzisiaj pierwszy uderzy.

Zaczem, idąc za zdaniem króla, które też było
i szlachetne i mądre, postanowiono, ażeby woje-
wództwa stanęły pod bronią i były gotowe do ude-
rzenia, ale nie wychylały się z lasu, ażeby Wołosza

nie mogła wiedzieć, jakie są nasze siły, i rozumiała, że nas czapkami zarzuci. Kto się w swojej rachubie przeliczy, ten potem za to zapłaci. Zaś chorągwie królewskie niechaj społem uderzą.

Natenczas wszakże Gniewosz wysunął się naprzód na koniu, pokłonił się królowi i starszym, i zabrał głos, mówiąc w ten sens:

— Uchyliwszy czoła przed zdaniem jego królewskiej mości, proszę o łaskę, abym też mógł co dodać do niego. Dwór królewski niewielkiego bohaterstwa dokaże, jeżeli zbitym szykiem uderzy, boć tak rozumiem za wolą Bożą, że się Wołoszy rozzerwać nie da. Ale też uderzywszy społem, tej ómy wołoskiej nie zbije, bo *nec Hercules contra plures*. A co potem na to województwa powiedzą? — Uderzyli, bo wiedzieli, że ich Wołosi nie zjedzą. Poradziwszy się z naszymi rotmistrzami, prosiłbym waszej królewskiej mości o łaskę, ażeby swoim chorągwiom kazał pojedyńkiem uderzać. Mamy w Bogu nadzieję, że jak w kilkanaście chorągwi jedna po drugiej w różne punkty ich linii uderzymy i jak się z nimi pomłócimy czas jaki, to tak ich poszarpiemy, a pomęczymy, że województwa ich potem bez wielkiej pracy jakby niewodem zagarną. Jeżeli zaś jest napisano, że nas po jednemu zjeść mają, to zginiemy, ale wtedy nikt w Polsce nie powie, że król krew szlachecką wydał na pastwę, a swojej oszczędzał! Dwór królewski, a jego pan miłościwy to jedna dusza i jedno ciało, jako już powiedziano. Damy się pierwiej wszyscy wyciąć do nogi, niżeli byśmy mieli dopuścić, ażeby na nas obelgi rzucono, tak nam Boże dopomóż! Niech żyje król!

Ten okrzyk: niech żyje król! rozległ się znowu jak gromy bijące jeden po drugim po wszystkich chorągwiach królewskich i powtórzyli go, jak gdyby z jednej piersi, Wilczek, Myszkowscy, Lancko-

rońscy, Tęczyńscy, Kergolaj, Tigranes i wszyscy rotmistrze i porucznicy królewscy.

Król spojrział na Gniewosza wilgotnemi oczyma i pewnieby go był rad do piersi przycisnął, zazchem się obrócił do Krzesława z Kurozwek, jak gdyby go pytał, co on o tem rozumie. A biskup kujawski rzekł:

— Przed takim sentymentem rycerskim chyba już tylko kapelusza uchylić, idźmyż za wolą tych, którym Bóg dał takie natchnienie.

Zaczem król, w miejsce rannego Kamienieckiego, oddał Gniewoszowi komendę nad chorągwiami swojego dworu, zostawiając hetmaństwo przy sobie. A Gniewosz zaczął zaraz chorągwie szykować, stawiając je tam i sam, kryjąc je jedna za drugą, albo za kosmykami lasu, ażeby Wołosza nie mogła sił naszych policzyć i nie ściągnęła zawczasu posiłków, jeżeli ma jakie za miastem. Niektóre z nich tylko po ich proporcach, wiejących na drzewach na dwanaście stóp długich, można było poznać gdzie stoją.

Słońce już zaczęło dobrze dogrzewać. Już było widać jakby na dłoni, jako Wołosza się wyciągnęła pod murami fortecy w linię niezmiernie długą i dobrze wewnątrz podszytą, hufce konne na przodzie, za niemi piechoty, tatarskie ściahy błakające się za obydwojma skrzydłami — a kto wie, co się tam jeszcze kryło w mieście i z drugiej strony Suczawy. Duch zdawał się między nimi być dobry (co zawsze oko wprawnego żołnierza odgadnie), ich hetmani przelatywali na dobrych koniach przed frontem konnicy, wesóły szmer czasem od nich dochodził, zdawało się, że nas lekceważą i są pewni zwycięstwa.

U nas wesołości nie było, owszem, nastrój bardzo poważny, zwłaszcza pomiędzy dworem królewskim, gdzie każdy czuł, że dzisiaj ma raczej dać

duszę za honor znaku, pod którym służy, niżeliby sobą miał podrwić.

Już więc chorągwie stanęły każda na swoim miejscu, już Gniewosz rozważał w sobie, którą miałby zaczynać, kiedy wtem po prawej ręce królewskiej dał się słyszeć hałas tak wielki, szcęk żelaza, nawoływania i jęki, jak gdyby tam całe piekło zawrzało.

Wszyscy zwrócili w tę stronę swe oczy, coby to było – a wtedy całe niespodziewany i bardzo przykry im się otworzył widok.

Po tej stronie ciągnęły się wzgórza, na tych wzgórzach jeszcze przed świtem zatoczono resztę armat niewziętych i rozłożono obozem piechoty. Owoż pomiędzy piechotami był regiment owych Husytów z pod Laszek, regiment silny, bo go liczono na cały tysiąc, a złożony był z samych Czechów, co w lasach mieszkali, a nie mając co jeść u siebie, najmowali się radzi do każdej wojny. Byli to ludzie tak dzicy (jak opowiadają świadkowie współcześni), że trzeba ich było nieraz zakuwać w żelaza, aby się nie pozabijali pomiędzy sobą, dlaczego też zawsze za nimi wożono łańcuchy na wozach. Kudłaci byli okrutnie i z rozczochranemi brodami, ubierali się w kozuchy sierścią wywrócone na zewnątrz, niektórzy mieli przy kozuchach i łby tych bestyj, z których pozdejmowali skóry, jedni w bótach kowanych z cholewami powyżej kolan, drudzy zaś w łapciach z rzemieniami, któremi sznurowali swe łydki, a wszyscy z halabardami opatrzonemi w siekiery i z ogromnemi toporami u pasów. Nieocenieni byli przy szturmach do fortec i zamków. Kiedy już wyłom był wystrzelony armatą, to z niesłychanem zuchwalstwem wdzierali się na mury i jak dzikie zwierzęta, nie dali się niczem odstraszyć. Ale niechby Bóg bronił to miasto, do którego się wdarli, bo ich topór krwiożerczy nie znał

litości dla niewiasty, ni starca, a tak zawzięta była ich żądza niszczenia, że zawsze sto razy więcej podruzgotali dobytku, niżeli go zjedli albo z sobą unieśli. Toż i karności nie można było pomiędzy nimi utrzymać, bo mimo najsroźszych kar, ciągle się buntowali i zabijali swoich sotników.

Wczorajszego dnia, myśląc zapewne, że nasza armia już jest pobita, rzucili się w lesie na polskie wozy. Zamiast się bronić Wołochom, musiano na nich uderzać, jakoż kilkunastu ich zabito, a niemal całą setkę zakuto w kajdany. Tak ich przyprowadzono w nocy na owe wzgórza, gdzie się rozłożyli obozem, ogromny stos drzewa zapalili w środku obozu, jedli i pili przez resztę nocy, o świcie już jęli się burzyć, a teraz zaczęli się wzajemnie z kajdan rozkuwać i znowu zabijać swych starszych.

Pierwszy, który spostrzegł ten bunt, był Frąc Ajchinger, na czele dwóchset porządnej i karnej piechoty niemieckiej stojący przy armatach; ale ani się ruszył, tylko patrzył spokojnie na to widowisko, właśnie jak gdyby był na teatrum. Dopiero stary Pampowski, jenerał wielkopolski, co właśnie sam działa szykował, krzyknął na niego:

— Ruszże się przecie, bałwanie! a podeptaj to chłopstwo, co się na swoich starszych rzuciło.

Natenczas Frąc, po rozkazie, skoczył na koniu do swoich ludzi, sprawił ich raźnie i bardzo porządnym szykiem na obóz Husytów uderzył. Ale Husyci, równie sprawni do boju, odrzucili go swemi halabardami jak piłkę od siebie, ubiwszy mu kilku ludzi. Frąc odskoczył jak pies od jeża i stanął na boku, patrząc, azali mu kto na sukurs nie przyjdzie, bo widział, że swemi dwiema sotniami nie da im rady. Ledwie Frąc odskoczył, młody Herbut z Odolanowic, który po drugiej stronie Husytów właśnie zbierał piechotę i miał już około stu ludzi, młodzieniec żartkiew fantazyi, ale niedoświadczony,

z tem, co miał, rzucił się na nich. Ale także był odrzucony jak jabłko od skały i stanawszy w oddaleniu, zaczął nawoływać dalszą piechotę.

Owóż w owej to chwili Husyci taki piekielny hałas podnieśli — a czy to był krzyk buntowniczy, czy ogłoszenie tryumfu, że dwa ataki tak gładko odbili, trudno było zrozumieć.

Lecz wtedy temu hałasowi w obozie Husytów także dwudziestotysięczny okrzyk z pod murów Suczawy zawtórzył: Wołosza, dostrzegłszy zapewne z murów, że Polacy się biją pomiędzy sobą, powitała ten widok szyderczym okrzykiem.

Wtedy król przyzwał Wilczka do siebie i dał mu rozkaz, ażeby na Husytów uderzył, powiadając mu, jak ma to zrobić; Wilczek skoczył do swojej chorągwi, która się właśnie szykowała pod lasem.

O. Chryzostom modlił się od świtu przed ołtarzykiem obozowym, który się znajdował w królewskim namiocie, potem miał mszę św., której wszelako tylko kilkunastu starszych rycerzy słuchało, a potem niektórych spowiadał i dawał im absolucję. Przed namiotem czekał koń jego, a słudzy trzymali pancerz i hełm z mieczem na pogotowiu, bo Chryzostom miał zamiar przewiesić stułę przez pancerz, objechać wszystkie chorągwie królewskie i każdej dać absolucję bez spowiedzi, jaką daje się *in extremis*. Tymczasem ów hałas piekielny doszedł do jego uszu — a usłyszał go lepiej niż wszyscy, bo namiot królewski znajdował się bliżej obozu Husytów, niżeli to miejsce, na którym stał król ze starszyzną.

Chryzostom wybiegł tedy co prędzej przed namiot i zaraz się dowiedział od stojących tamże żołnierzy, co jest. Nawet mu obóz Husytów wskazano, który ztamtąd było widać jakby na dłoni.

— Bunt w obozie! — zawołał Chryzostom, chwycając się obydwoma rękami za głowę — bunt w obozie, to pół bitwy przegranej!

Jakoż już nie pytając o nic nikogo, tak jak był, w habicie, w komży i stule, tylko krzyż wzięwszy do ręki, wskoczył na koń i pędem poleciał do obozu Husytów.

We dwa pacierze przybiegł do szańca i wskoczył na swoim białym koniu w sam środek obozu, jawiąc się szalejącym Husytom jak anioł Boży, który właśnie spadł z nieba. Osadziwszy konia, podniósł krzyż w swojej prawicy i zaczął do nich przemawiać w języku niemieckim, karcąc ognistymi słowy ich zbrodnie i nawołując ich w imię Boga do posłuszeństwa. Husyci otoczyli go kołem, zrazu bardzo zdziwieni, ale kiedy się spostrzegli, że to ksiądz katolicki i usłyszeli, że ich karci niewybrydnymi słowami, poganie ci zaczęli mruzczyć, a potem wołać na niego, że nie ma do nich żadnego prawa, a wreszcie i lżyć go najohydniejszymi przekleństwami.

Słyszając to, bogobojny, a zarazem rycerskim duchem przejęty Chryzostom świętym gniewem zapłonął, a wierząc silnie i niezachwianie w potęgę swojej natchnionej wymowy, rzucił na nich kłatwę kościelną i wielkim głosem zawołał, że będą wybici do nogi i dyabeł ich dusze na dno piekła zabierze, jeżeli przed nim na kolana nie padną i do karności nie wrócą.

A wtedy pierwszy poganin, który stał przy nim, uderzył go żelazną halabardą w odkrytą głowę, tak, że krew wytrysnęła i strumieniem pociekła po twarzy. Chryzostom jeszcze przeto przytomności nie stracił, owszem, podniósłszy oczy ku niebu, zaczął wołać:

— Jeruzalem! Jeruzalem! które zabijasz pro-

roki i kamienujesz te, którzy do ciebie są posłani...

Ale dalszych słów już nie domówił, bo ten sam poganin jeszcze raz halabardą uderzył go w głowę, zaczem cała tłuszcza rzuciła się na niego, zerwali go z konia i rohatynami rozerwali na sztuki.

Ktoby był wtedy jego męczeńskie zwłoki obaczył, nigdyby był nie poznał, że to jest ciało zabitego człowieka. Czego zapewne przestraszywszy się ci poganie, zebrali jego członki porozrywane, zawinęli je w habit jego i na stos płonący rzucili, gdzie natychmiast zgorzały.

Koń Chryzostoma, kiedy zeń jego pana zerwano, wspiał się do góry, przystrzygł uszyna, rozwarł szeroko swe chrapy i zęby wyszczerzył, jak gdyby chciał pożreć morderców. Był wtedy tak strasznym, że nawet ci rozwciekieni poganie odskoczyli od niego. Zaczem zwrócił się na tylnych nogach i poleciał jak wiatr ku królewskiemu dworowi, gdzie stanął z rozwianą grzywą i krwią zaszłemi oczyma, grzebiąc ziemię kopytem i rżąc tak przeraźliwie, że zdało się, jak gdyby wył z bólu za swym opiekunem.

Król i cała starszyzna, którzy to morderstwo widzieli, a teraz ten koń dał mu tak niewątpliwe świadectwo, zostali niem tak przerażeni, że na chwilę oddech zaparli w piersiach i nikt nie mógł słowa wymówić. Dopiero po chwili biskup kujawski powiedział:

— Bóg najlepszego z nas wziął na ofiarę, ufajmy mu, że miara się dopełniła.

A wtedy właśnie Wilczek na Husytów uderzył. Spadł on na nich co koń wyskoczy w dwieście pięćdziesiąt pancernych z dobytymi mieczami i stratował ich tak, jak gdyby zboże kto zmlócił, siekąc i koląc ich z taką szybkością i siłą, że o obronie

ani mogli pomyśleć. Mało co potem Ajchingier i Herbut uderzyli na nich z pieszemi sotniami i dokończyli tych pogan, tak, że prawie połowa ich padła śmiercią pod kopytami i pod ostrzem żelaza, a resztę porozdzielano pomiędzy inną piechotę.

Wilczek, zjehawszy z pola i wracając do swoich, rzekł do siebie:

— Tyś mi życie odebrał, jam się pomścił twej śmierci, wstawże się za mną do Boga, abym się długo nie męczył w tem ziemskim więzieniu.

Lecz wtedy już trzeba było uderzać bez zwłoki, bo wszyscy to czuli, że Wołosza się z nas naśmiewa, rozumiejąc napewno, że już tylko niedobitki zostały przy królu, a i te jeszcze buntują się przeciwko sobie.

Wszyscy spojrzeli na nieprzyjaciela i obaczyli, że i on już się do roboty zabiera i harcowników wysyła, po jednym, po dwóch, albo po kilkunastu. Niektórzy z nich byli nawet tak zuchwali, że na rzucenie kamieniem ku nam podjeżdżali i nawoływali, łącząc ohydnyemi słowami polskie rycerstwo, biskupów i króla.

Król dał znak Gniewoszowi, który niedaleko od niego stał na czele swojej chorągwi, mając też kilkunastu szlachetnych młodzieńców przy sobie na posyłki, ażeby zaczął puszczać chorągwie.

Gniewosz posłał młodzieńca do Kergolaja, ażeby pierwszy uderzał, będąc pewnym, że ten doświadczony rycerz złotej ostrogi swoich ludzi koń przy koniu utrzyma i jak kula armatnia uderzy, co powinniśmy na Wołochach dobre sprawić wrażenie.

Ale w tej chwili Tigranes przyskoczył do króla, niziuteńko mu się z konia pokłonił i prosił go bardzo wymownie, ażeby mu pozwolił przed wszystkimi uderzyć.

Król był bardzo zdziwiony tak piękną odwagą

tego młodzika, ale go to zarazem ujęło, zaczęm podniósł rękę prawie nad jego głowę i rzekł:

— Bijże więc w Boży czas, Bóg z tobą!

Tigranes zaraz ruszył ze swoją chorągwią i bardzo pięknie się sprawił. Ścisnął dobrze swoich żołnierzy pomiędzy siebie i młodego Pretficza i ruszył stępą, w pół stajania puścił się kłusem, potem sam na czoło swojego hufca wyskoczył i całym pędem w sam środek Wołoszy uderzył.

Trudno było dojrzeć, czy przebił wołoskie szeregi, czy zdradliwa Wołosza sama mu się rozstała, ale to było widać, że się w niej utopił, a za nim znów się wołoska linia zamknęła.

Jednak nim jeszcze Tigranes dobiegł do szeregów wołoskich, już Gniewosz zawołał takim ogromnym głosem, że go powtórzyły lasy i skały:

— Kergolaj naprzód!

Kergolaj, któremu dusza się śmiała na takie wesele, gdzie mu kazano w sto ludzi na całą armię uderzać, uderzył istotnie tak, jak gdyby kto kamień z procy wypuścił i także się między Wołoszą utopił.

Za nim wyrwał się zaraz Myszkowski ze swoją chorągwią, prosząc ze łzami w oczach Gniewosza, aby go puścił, za Myszkowskim Zawisza z Konradzic, za Zawiszą Mikołaj z Lubienia Doliwczyk, wszyscy młodzi rycerze ze szkoły niemieckiej albo sabaudzkiej, a dziś wolontaryusze, co z własnymi pocztami przyczepili się do armii królewskiej i radzi byli w obliczności dwóch armij popisać się ze swoją odwagą. Gniewosz ich puszczał, wołając:

— Myszkowski naprzód! Zawisza naprzód! Lubieniecki za nimi!

I znowu wołał:

— Wolno! pomału! nie wyprzedzać się! o pięćset kroków jeden za drugim!

A po chwili zawołał po rusku:

— Olizaru! rypaj!

Olizar stał ze swoją sotnią kozaków opodal także w pogotowiu, ale nie myślał wcale, że i jemu każą w murowane czoło Wołoszy uderzać. Tamte chorągwie to rzecz całę inna: tam żołnierze zakuci w żelazo, na ciężkich koniach, choćby ich było tylko stu razem, jeżeli dobrze się ścisną, to mogą swemi ogromnemi kopiami i swoim ciężarem najpotężniejszą linię przełamać. Ale on, na lekkich konikach, z ludźmi w sukiennych kubrakach i z lekkimi spisami, jemu chyba rwać nieprzyjaciela po bokach albo gonić uciekających, ale nie w takie zbrojne mury uderzać. Rozkaz Gniewosza wcale mu nie był po myśli. Ale trudno mu się sprzeciwić, bo wydaje rozkazy po woli króla.

Tak sobie Olizar ten dziwny rozkaz przez okamgnienie rozważał w swojej głowie, kiedy w tem na bardzo pięknym koniku, a w srebrzystym pancerzu przyskoczył ku niemu paniczek Górka, siostrzeniec Bucząckich, co nie miał jeszcze lat siedmnastu, maluczko szeplenił, a bardzo był krotochwilny, i pokłoniwszy mu się swoim mieczykiem, rzekł z wesołym uśmiechem na twarzy:

— Pan Gniewos kaze, zeby pułkownik napsód rypał.

Kiedy Olizar obaczył tego młodzika, co jeszcze jakby sobie drwił z niego, złość go wzięła okrutna, naszczurzył się z pałaszem ku niemu i zawołał, przedrzeźniając go w gniewie:

— Hniwos kaze! Howoryty newmije, a wże wozyt rozkazy! Idy do ditzoi matery...

I jeszcze dalej coś klął sobie pod nosem.

Górka rozśmiał się głośno, spiął konia, pokłonił mu się i odjechał galopem do starszyny.

Tymczasem Olizar odsapnął, poprawił węża i stanął na czele swojej sotni. Rad nierad, musiał uderzać. Widząc, że inni rotmistrze, nim z miejsca

ruszyli, przemawiali do swoich chorągwi, więc i on także obrócił się do swoich kozaków i poprawiwszy czapkę na bakier, miał do nich przemowę. Oratorem nie był, bo to nie jego rzecz, ale w ciężkich chwilach mądry człowiek radzi sobie fantazyą.

Zaczem wezwawszy na pomoc Demostenesa, a zwłaszcza Senekę, ulubionego mędrca Rusinów, wypalił do nich oracyę w ten sens:

— Chłopci! rypaty, ta rypaty. Korol każe, ta rypajmo. Ano tak, szczo b'sia skry posypały. Trysta im mat' mordowało! hurra!

Kozacy krzyknęli: hurra! on zaś, zwróciwszy konia na tylnych nogach, podniósł krzywą szablę do góry i nie zważając wcale na niemieckie reguły, stępą, kłusem i pędem, świsnął wraz z nimi odrazu z kopyta prosto na wyciągniętą linię Wołochów. Jego sotnia, pędząca naprzód, a niebardzo w sobie ściśnięta, wyglądała zdaleka jak stado koni spłoszonych, bo w cienkiej mgle kurzu widać było tylko zady końskie, a pod niemi w górę pozadzierane ogony. Pal ich kat! tak rypie Olizar.

A wtedy Gniewosz zaczął już puszczać coraz cięższe chorągwie królewskie, które uderzały w masę Wołochów jak kule.

Wołosza zaczęła już spostrzegać, że to nie żarty. Jej harcownicy, na których nikt zresztą nie zważał, dawno już uciekli pod mury. Jej linia frontowa była już w kilku miejscach złamana, po za nią, pod samemi wałami już kipiało jak w kotle, bo się tam bito zęb za zęb i oko za oko, ale luki wybite w linii frontowej jeszcze się zapełniały i linia zawsze zamykała się nanowo.

Wszelako wtenczas już całym naszym rycerstwem zawładnęła owa moc niepojęta, co w ważnych chwilach całe armie jednym duchem przejmuje i nieprzepartą siłą ciągnie za sobą. Tą siłą cią-

gnione, już wtedy wszystkie chorągwie królewskie posuwały się naprzód; nawet sam Gniewosz nie mógł się ze swoją chorągwią oprzeć temu prądowi i zwoła na się naprzód posuwał.

Jednocześnie też i chorągwie wojewódzkie zaczęły wykluwać się z lasu, wyglądając same ze swemi najeżonemi kopiami jak lasy ruchome, nad którymi wszakże powiewały barwiste proporce; nawet i król z biskupami i ich zbrojnemi pocztami także powoli posuwał się naprzód.

Widząc to Gniewosz, rozesał swoich młodzieńców do wszystkich chorągwi, ażeby na miłość Boga kamieniem leżały na miejscu, aż póki ich nie zawoła—a zarazem i swoją zatrzymał, sam zaś wyteżył wzrok ku Suczawie, aby widzieć dokładnie, co się tam dzieje.

A kiedy tak patrzył z podniesioną przyłbicą, nagle oddech zaparł w piersi i zbladł jak ściana. Musiało się tam stać coś wcale niezwyčajnego, bo w tej samej chwili ogromny okrzyk rozległ się pomiędzy Wołoszą, okrzyk tryumfujący albo szyderczy, bo zdało się, jak gdyby śmiała się cała ich armia.

W tej wszakże chwili Wilczek przyskoczył do Gniewosza na koniu z zachmurzonym czołem i wielką boleścią na twarzy i rzekł do niego:

— Gniewosz! nie pastwź się nademną. Wiesz przecie, jak mi śmierć pilna, puszczajże mnie narzecie!

Lecz Gniewosz spojrział chmurno i jakby w roz-targnieniu na niego i odpowiadał mu sucho.

— Stać! przyjdzie kolej na nas obydwóch. Śmierć sobie wybierze którego zechce. Niech pierwej lekkie chorągwie uderzą.

Gniewosz oczywiście nie chciał, aby go pomówiono, że Wilczka umyślnie na większe niebezpieczeństwo naraził i posłał go w ogień pierwej, niż sam uderzył.

Wilczek z gniewnemi oczyma i z chmurą gradową na czole odjechał.

Gniewosz siadł twardziej na siodle, dobył szkiełko z zanadru i wysilając swój wzrok do najwyższego stopnia, wpatrzył się w to samo miejsce, gdzie dopieroco coś niezwykłego obaczył.

Już przedtem, nim Wilczek do niego przyskoczył, dojrzał on rzecz niesłychanie oburzającą: na przednim wale fortecy pal wbity w ziemię i rycerza wbitego na palu. Wzrok jego wtedy nie doniósł, ale przeczucie mu powiedziało, że musi to być jeden z polskich rycerzy. Teraz wyteńczywszy wzrok przez szkiełko przybliżające, poznał tego nieszczęśliwego rycerza: był to Tigranes.

Czy wzrok miał tak bystry, czy wyobraźnia dopomogła wzrokowi, ale widział wyraźnie na palu Tigranesa w pancerzu, lecz z gołą głową, jako miał oczy zamknięte, twarz spokojną, jak gdyby snem słodkim uspioną, a wiatr mu jego jasne włosy rozwiewał.

Wołosi, widząc, jak na nich pierwszy z maleńkim poczem uderzał, otworzyli mu sami swoje szeregi, poczem oczywiście bez trudu zerwali go z konia—a rozumiejąc jeszcze natenczas, żeśmy wszyscy tak słabi, na urągowisko naszej armii rozbitej wbili go na pal na najwyższem miejscu wałów fortecznych. Jeszcze teraz zbiegowisko ogromne otaczało ten pal i wydawało takie rozgłośne okrzyki, że aż tu dochodziły.

Na ten widok Gniewoszowi ani nawet ciemne przeczucie nie powiedziało, jak pomyślne dla niego ze śmierci męża Formozy mogą się wywinąć następstwa; owszem, tylko niepowstrzymane zdjęło go oburzenie na takie barbarzyńskie zuchwalstwo Wołoszy, zacisnął zęby i zawołał do siebie:

— Psia wasza mać! Daj wam Boże odplacić.

I z tym szlachetnym gniewem w swem sercu

spuścił przyłbicę i zaraz sam ruszył naprzód ze swoją chorągwią.

Była to straszna chorągiew. Gniewosz sam ją kosztem królewskim złożył, uzbroił i wyćwiczył według najwyborniejszych wzorów, jakie sam widział we Włoszech i w Niemczech. Stu rycerzy, prawie wszyscy takiego wzrostu i siły jak on, od stóp do głów zakuci w bronzowane pancerze, siedzieli tam w pierwszym szeregu na koniach ogromnych jak słonie i także zakutych w żelazo. Rycerze mieli obok piór, każdy swego koloru, końskie ogony przy hełmach — a konie żelazne groty osadzone w naczółkach, tak, że kiedy rycerz kopią w swego przeciwnika uderzył, gdy kopię skruszył, koń w jego konia uderzał tym grotom. Za tymi rycerzami siedziało dwóchset knechtów na równie potężnych koniach, także z przodu zakutych w żelazo, bez kopij, ale z szerokimi mieczami. Sam ciężar takiej chorągwi był tak ogromny, że uderzając całym pędem i w zbitych szeregach, mogła była nieledwie murowane miasto obalić.

Gniewosz, przemówiwszy ogniście do swych towarzyszków i wskazawszy im Polaka w białego na pal na wałach fortecy, taki gniew w nich zapalił, że jego chorągiew złała się z sobą jak gdyby w jedną bryłę żelazną — i uderzyła w Wołoszę z takim grzmotem ogromnym, jak gdyby się cały świat na nią zawalił. Jakoż bardzo szeroki wybiła w niej wylom, jakoby paszczę ziejącą, w której zaraz zawrzało i zakipiało, jakby w kraterze wulkanu.

Król stanął teraz na miejscu cokolwiek wyniosłem, z kądem bitwę tę pod murami fortecy można było widzieć jakby na własnym dziedzińcu. Jakoż wszyscy widzieli, jak Gniewosz jakiegoś Wołoszyna kopią zdjął z konia i podniósł na kopii na jej całą wysokość w tę stronę wałów, gdzie na palu wi-

siał Tigranes. Na ten widok król zatarł ręce i rzekł do biskupów:

— Dał im poznać królewskich rycerzy, ale jeszcze to na tem nie koniec.

Jakoż towarzysze Gniewoszą, rozparłszy się między Wołoszą, całe kupy Wołochów nakładali kopiami— a kiedy je pokruszyli, dobyli mieczów na sześć stóp długich i jak zwierciadła błyszczących, i niemi wokoło siebie rąbali i kłóli; miecze ich odbijały na sobie promienie słońca, że się zdawało, jak gdyby tam ustawiczne błyskawice latały, aż póki miecze krwią zlane nie mogły już rzucać błyskawic od siebie.

Wołosza, stęknąwszy ciężko pod chorągwią Gniewosza, usiłowała jeszcze zawrzeć ją w sobie i wypuściła naprzód z prawej strony i z lewej mnogie hufce konne, ażeby wybity wyłom załatać i połknięte chorągwie między sobą zadusić.

Ale natenczas Wilczek, na czele swojej chorągwi, wzbogaconej szlachtą halicką, z takim impetem w te hufce uderzył, że się przed nim rozbryzgnęły tak właśnie, jak woda się rozbryzgiwa, kiedy kto kamień w nią wrzuci.

Za Wilczkiem uderzyły jeszcze dwie chorągwie królewskie i linię wołoską już szeroko rozwarły, przeciąwszy Wołochów prawie na dwie połowy i utrzymując oddech dla bijących się polskich rycerzy z tej strony.

A wtedy ruszyli stojący około króla biskupi.

Z nich pierwszy biskup kujawski podniósł miecz w górę i w dwieście pancerników swojego dworu z takim samym impetem na Wołoszę uderzył, jak gdyby był świeckim rycerzem; za nim wspaniałej postaci Jędrzej Boryszewski, arcybiskup lwowski, we dwieście pięćdziesiąt koni, nuż Jakób Buczacki, biskup kamieniecki, pan jeszcze młody, ale wielkiej powagi, w czterysta lekkiej konnicy, sa-

mych Rusinów. Złociste i srebrzyste pancerze biskupów i ich rozwinięte sztandary, dzierzgane również srebrem i złotem, opromieniły jakby cudownym blaskiem armię królewską — a może jej i szczęście przyniosły, bo od tej chwili Wołosza się całkiem zachwiała i jakby pochyliła ku ziemi: nad nią wypływały coraz gęściej na wierzch nasze chorągwie, które też jej widocznie na karkach siedziały.

Ale natenczas zaczęły wyskakiwać z po za Suczawy świeże hufce wołoskie i ściahy Tatarskie.

Pod ową porę już wszystkie wojewódzkie chorągwie powykluwały się z lasu i poustawiały się po wzgórzach i w czystym polu. Po klęsce wczorajszej, poniesionej w lesie, niktby się nie był spodziewał, że mamy jeszcze tak wielką potęgę. Król spojrział na nią z wielkiem zadowoleniem. Jednak wiedziony miłością własną i rozumiejąc, że pokona Wołoszę swym własnym dworem, czego gorąco pragnął, posłał Jana Potulickiego, kasztelana rogozińskiego, ażeby te chorągwie się nie ruszały, aż na nie zawoła. Ale zaraz pierwszy Spytek Jarosławski Leliwita, wojewoda krakowski, srodze się na to oburzył i odpowiedział bardzo rozumnie:

— Nie dosyć królowi na jednym grzechu, chciałby zaraz i drugi popełnić! A jak Wołosza dwór jego potłumi, co wtedy będzie? I tamtych ludzi nam braknie, i u nas duch podupadnie. A potem, i mybyśmy też chcieli być na tych godach, bo i myśmy tym rozbójnikom coś winni.

I zaraz sam ruszył z całym województwem krakowskiem.

A wtedy już niepodobna było żadnej chorągwi utrzymać. Wszystkie rzuciły się naoslep na wołoskie i prawie je sobą nakryły.

Toż dopiero wtedy zaczęła się bitwa prawdzi-

wa, bardzo nieregularna, bo nie było żadnej komendy, lecz niesłychanie zawzięta.

Obydwa wojska porozrzucały się prawie na całe pół mili, albo i więcej, Wołochom przybyły jeszcze posiłki z za murów miasta, zjawili się także Tatarzy nieledwie całemi chmarami, bito się chorągwiemi, pułkami, drobniejszemi hufcami, a nawet i pojedynkiem, gdzie kogo kto dopadł i gdzie go własna ciągnęła fantazyja.

Król, stojąc zawsze na tem samem miejscu pod lasem z królewiczem Zygmuntem i kilkunastą urzędnikami swojego dworu, miał prócz piechoty pod komendą Ajchingera, już tylko jedną dworską chorągiew przy sobie, którą starszy Górka dowodził, a która nazywała się «gończa»; wszystkie inne w bój poleciały. Ztamtąd też było widać jak na talerzu tę rąbaninę i wszystkie gonitwy, o ile ich nie zasłaniały kosmyki lasów i porozrzucane tam i sam gęste zarośla; ale było tych utarczek i tych pogoni tak wiele, że im oko jednego człowieka nie mogło nastarczyć. Toż ten i ów z urzędników, stojących przy królu, zwracał jego uwagę na to lub owo widowisko, które przed innemi wpadało w oczy.

Tak spostrzeżono, że Spytek Jarosławski całem swem województwem, które ku podziwieniu wszystkich utrzymał w kupie, oderwał całkiem prawe skrzydło Wołoszy, przez długą chwilę tłumił je na miejscu—a kiedy mu tył podało, pojechał na jego karkach brzegami lasu ku zachodowi. Za Krakowiakami jeszcze jedno województwo ruszyło, nie można było rozpoznać, które to było, ale już nikt o tem nie wątpił, że tam z tego kawałka Wołoszy ledwie *nuntius cladis* zostanie.

Województwo ruskie po śmierci Tęczyńskiego nie miało wodza, więc się rozproszyło, ale ziemia przemyska trzymała się kupy, widać ją było do-

brze po rozwiniętym sztandarze, rzucała się na prawo i na lewo, a zawsze zbita ze sobą koń przy koniu. Ktoś jej tam bardzo rozumnie hetmanił, a nie wiadano który, bo jej kasztelan był ranny; dopiero potem się dowiedziano, że był to syn jego, młodzieńki Stanisław Kmita, co na tę wyprawę z Sabaudyi przyjechał, późniejszymi czasy rycerz znamienity czasu króla Zygmunta.

Wilczka widziano, jako się tłumił z dwiema chorągwiami Szeklerów na lewem skrzydle wołoskiem, Biłowus wisiał wciąż przy nim ze swymi ludźmi, poznano go po jego palce i koniu kudłatym; oczyścili wały w tem miejscu, a potem, wsiadłszy na kark tymże Szeklerom, popędzili za nimi aż poza mury Suczawy. Widząc to król, rzekł do Potulickiego:

— Chwałę taką zaciętość w bitwie, bo też i znam ją oddawna u Wilczka; ale niepotrzebnie się zapędza za miasto, bo może tam wpaść w jaką zasadzkę.

Wilczek właśnie to miejsce wałów fortecznych oczyścił, gdzie na ich grzbiecie wisiał na palu Tigranes. Jakoż zaraz widziano, jak przybiegła w to miejsce jakaś pomieszana chorągiew, jedni żołnierze mieli na sobie płaszcze czarne, drudzy błękitne, biegła z nimi razem także piechota z halabardami i toporami, drudzy zaś nieśli drabiny. Niektórzy rycerze pozeskakiwali z koni i zaczęli się drapać na wały. Już ci i owi wdarli się na sam grzbiet wałów, już ich całą garść było widać około pala — a wtedy Wołosza uderzyła na nich z wewnątrz wałów i zaczęła się tam zawzięta ubijatyka, halabardami, mieczami i toporami. Jednym i drugim przybywały posiłki, już się wały tak mnogim ludem okryły, jak gdyby chinura much na nie opadła, bito się z wielkim hałasem i zaciętością, strącano się z wałów, obalanó pał z trupem — a nie

można było zgadnąć, o co tam idzie. Królowi się zdało, że dojrzał tam Kergolaja na szczycie wału i jego ludzi ubranych czarno z białymi krzyżami, ale w głowę zachodził, poco tam Kergolaj wlaźł na te wały. Zaczem się śmiał, chociaż przy febrze wcale mu nie było do śmiechu, i rzekł:

— Poco ten Francuz drapie się sam do fortecy? przecie tam musi być silna załoga. Jeszcze go pojmagą i wbiją na pal, jak tamtego.

A Potulicki na to:

— Brano już lepsze fortece. A zawsze się to stało za przewodem jednego człowieka, który obudził fantazyą u innych.

— Jużbym się też zaraz otrząsł z mojej gorączki — powiedział król — gdybyśmy temu wołoskiemu wójtowi jeszcze jego wilczą jamę zabrali.

A wtedy przewaliła się znowu bitwa w tę stronę. Najprzód Szeklery, których Wilczek za mury fortecy przepędził, wzmocniwszy się silnym czambułem Tatarów, co kędyś tam stali za lasem, oparli mu się z wielkim hałasem, tak, że się jego echo odbijało o skały, wjechali na nim znowu na czoło fortecy; z drugiej zaś strony kilka naszych chorągwi przewaliło się także w to miejsce i wszyscy razem wzięli się bić bez ładu i składu.

Wołosi i Węgrzy trzymali się karniej od naszych, niełatwo się dawali rozrywać, tworzyli ciała zbite z sobą i plecy sobie dawali, była tam u nich jeszcze jakaś komenda; z naszych tylko jeden Wilczek utrzymał jakokolwiek w kupie swój hufiec, doświadczony Ramułt dzielnie mu w tem pomagał — inne nasze chorągwie się poszarpały, a rycerze i knechci uderzali pojedynkiem albo małemi garstkami.

W tym tłumie, który zajął sobą więcej niż całe stajanie, łatwo było poznać żelaznych rycerzy Gniewosza. Gniewosz oczywiście, może zresztą przez

Tatarów tu wparty, przyszedł Wilczkowi na pomoc. Ale jego chorągiew była prawie zupełnie poszarpana i tak rozrzucona, że prawie każdy towarzysz pojedynkiem najeżdżał. Jużci tam każdy towarzysz był sam jak wieża żelazna i mógł się bronić bez cudzej pomocy, ale przecież i między nimi było widać niektórych dobrze już nadpoczętych, temu hełm potrzaskano, z drugiego pancerz poodlatywał częściami, na koniach potrzaskano kropierze, a ten i ów nawet już był spieszony.

Dziwnie zawzięcie broniła się ta zbierana horda. Tak bito się z jaką godzinę albo i więcej, tłumy zaczęły się przerzedzać, zaczem Wołosi i Węgrzy, jedni padli pod naszymi mieczami, drudzy uciekli, tylko jeszcze Tatarzy z niesłychanem zuchwalstwem się nam naprzykrzali.

A wtedy było widać Gniewosza, którego też po żółtych i czarnych piórach u hełmu sam król poznał odrazu, jako się za jakimś pozłocistym murzą tatarskim, albo może i baszą tureckim odsadził i z mieczem podniesionym do góry, grzbietami wzgórze za nim pogonił. Słońce już wtedy zaszło za góry i jeszcze tylko jasne blaski rzucało na ziemię, zaczem na ciemniejącem tle wschodniego nieba widać ich było obydwóch, jak czarne cienie na dnie ciemno-błękitnem. Tatar pędził co koń wyskoczy i od czasu do czasu odjadał mu się krzywą szablą, on za nim, trzymając miecz w podniesionej prawicy, tuż prawie padł nim, a nie mogąc go dostać, albo też może chcąc go wziąć żywcem w niewolę—i tak obydwaj zniknęli w zaroślach.

Co się z Gniewoszem stało, tego już nie dojrzano, widziano tylko już przy zapadającym zmroku rycerskiego konia, kulejącego z rozdartemi chrapami grzbietem tego samego wzgórze, kędy Gniewosz za Tatarem popędził. Jedni mówili, że

koń był bez jeźdźca, drugim się zasię zdawało, że koń niósł na sobie jeźdźca bez głowy...

Noc była pogodna i ciepła. Księżyc jasno przyświecał, kiedy chorągwie zaczęły się ściągać około królewskiego obozu. Chaos tam był niesłychany, jak przed stworzeniem świata, trąby, tarabany i nawoływania wzniewały hałas i wrzawę jak na dniu sądnym, ściągnięcie się też trwało aż do północy, bo nie z jednego pola, ale z niezliczonych pól bitew wracano. Trudno tam było się wszystkim rozeznać, a całe niepodobna policzyć. Szedł tylko głos po całej armii, że Wołosza jest na miązgę pobita, a z naszych mało kto zginął.

Król pytał tylko o swoje chorągwie. Z tych każda po kilku towarzyszów straciła, mało co więcej.

Wilczek powrócił nietknięty, a chociaż, Bóg mu świadkiem, uderzał zawsze gdzie było najgęściej i śmierć z rozpaczliwym zuchwalstwem wyzywał, ani go nawet nikt nie zadrasnął, Nawet i ze swojej zbroi ani jednego płotka nie stracił, tak, że ci, co go w tej ciężkiej robocie widzieli, a sami byli haniebnie podarci, patrzyli na niego z pod oka i mówili sobie: Jeżeli ten nie jest charakternikiem, to chyba, że już nie masz charakterników na świecie.

Biłowus także cały powrócił, a wszyscy jego żołnierze byli tak obładowani łupami, jak gdyby z jarmarku wracali.

Olizar również mało żołnierzy stracił, tylko jego kozacy uronili wszystkie swe dzidy, połamawszy je na karkach Wołochów. Natomiast wszakże przyprowadził kilka wozów z żywnością i rozmaitą inną zdobyczą, które Szeklerom odebrał, a zarazem siedmiu Tatarów i dwa wielbłądy, które zdobył na jakimś murzie tatarskim. Z wielbłądów okrutnie się śmiano i pytano go, na co je brał?

Ale on tylko ramionami wzruszał na taką płytkość rozumów i odpowiadał:

— Ot głupi! Na cóż człowiek się bije? Najprzód za króla, to prawda, przy tych słowach czapki uchylał — a potem, to przecież na to, aby co wziął. A wy, kogoście wzięli w niewolę?

Kergolaj dosyć dziwne widowisko wyprawił królewskiemu dworowi. Jego małą chorągiew fatalnie mu poszarpano, prawie trzecia część jego żołnierzy zginęła, co też niedziwno, bo nią na całą armię wołoską uderzył, został w nią zawarty i musiał na wszystkie strony się bronić. Kiedy Tigranesa pojmano i niesiono na wały, aby go stracić, on nawołał Pretficza do siebie, który już leżał na ziemi, i wziął resztę Tigranesowych ludzi z nim samym pod swoją komendę. Potem się bił z różnem szczęściem i wiele ludzi natracił, a między nimi i Pretficz mu zginął. Kiedy Wilczek tę stronę wałów oczyścił, on zebrał swoich i cudzych ludzi co mógł i wdarł się na wały — a wiedział dobrze, dlaczego to czyni. W tym wielkim popłochu mogło mu się udać zrobić wyłom w fortecy i wziąć ją, zwłaszcza, że jeśliby mu się udało utrzymać na wałach, toby go pewnie drugie chorągwie poparły. Widywał on nieraz, ba, nawet był przy tem, jak brano daleko mocniejsze zamki bez porównania słabszemi siłami. Sztuka ta mu się nie udała, bo żadnej komendy nie było, któraby jego zamiar spostrzegła i dała mu zaraz silne poparcie. Ale kiedy już tam był, odbił przynajmniej trupą Tigranesa, największą, a przytem hańbiącą dla nas trofeę Wołochów: czyn heroiczny, za który cała armia powinna mu być wdzięczną, a za który jeszcze jaka inna mogła się zdarzyć nagroda. Toż przywiózł istotnie zwłoki tego biedaka z sobą — a położywszy je przed dworem królewskim na ziemi, rzekł z nietajonem uczuciem zadowolenia:

— Nie godziło mi się zostawiać zwłok tej ofiary w rękach Wołoszy, aby jeszcze dalej z nas urągała; dlatego zdrowie zaważył, ażeby je dostać.

Królewscy dworzanie, obstąpiwszy to *corpus exsangue* Tigranesa dookoła, który z twarzą białą jak z wosku i w pancerzyku błyszczącym leżał na krzyżach przed nimi, bardzo mu ten czyn rycerski chwalili, mówiąc:

I Polak nie stanąłby lepiej w obronie narodowego honoru. Dank mu się od nas za to należy i trzeba, aby mu sam król podziękował.

Ale Wilczek uśmiechał się na to złośliwie. On jeden rozumiał, że wie, dlaczego Kergolaj karku nadstawił, ażeby to *corpus exsangue*, a zarazem i *corpus delicti* od Wołoszy wydobyć, i na czyją wdzięczność za to on liczy, jeżeli je przywiezie do Lwowa. Ale machnął ręką i rzekł do siebie:

— Właśnie tak samo, jak ja Jagienkę, tak ty ją dostaniesz!..

Zaczem bardzo tem zachmurzony, że jeszcze żyje, poszedł do swojej chorągwi, aby jej stanowisko na nocleg wytyczyć.

Na chorągiew Gniewosza bardzo długo czekali. Król już nie mógł na koniu dosiedzieć, usiadł więc przed swoim namiotem na krześle połowem i tam niemoc go tak rozbierała, że się przed sobą na mieczu opierał — a przecie czekał. Naręszcie i ta chorągiew wróciła. Jej towarzysze bardzo byli potrzaskani, wielu spieszonych, kilkunastu knechtów stracili, z nich samych żaden nie zginął, ale Gniewosza nie było.

Król tak się tą wiadomością przeraził, że ręce załamał i zawołał:

— Na Boga żywego! cóż się z nim stało?

— Tatarzy na nas z wielką siłą natarli—odpowiedzieli mu Gniewoszowi rycerze, rozbiliśmy ich, nacięli i podeptali, ale murza nam uszedł,

Gniewosz się za nimi wysadził, zapewne wpadł na drugi czambuł tatarski i tam jest usieczon.

— Na miłość Boga! — zawołał król, wsiadajcież na koń, którzy są mniej pomęczeni i idźcie go szukać. Nie sługa mi to był, ano przyjaciel, nie rozweseli mnie to zwycięstwo, jeśli on zginął.

Ale rycerze mu odpowiedzieli:

— Miłościwy panie! jużemy go wszędzie szukali, dlatego też tak późno wracamy. Widzieliśmy własnymi oczyma wielki czambuł tatarski za miastem, do którego się niedobitki wołoskie i siedmiogrodzkie ściągają, tam zginął.

Zaczem król ze spuszczoną głową poszedł do swego namiotu, i powiadano, że całą noc nie spał, swojego kapelana wciąż trzymał przy sobie i kazał mu czytać modlitwy za duszę Gniewosza.

KONIEC CZĘŚCI CZWARTEJ



~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. _____~~

Spis rzeczy.

XI. Obóz pod Lwowem	5
XII. Wojna	75



KOLEGIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

21134